NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23**, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 11 kwietnia 1914.** **Nr. 15.**

ŚWIĘTO ZMARTWYCHWSTANIA.



Wszystkim Czytelnikom i Przyjaciołom naszego pisma zasyłamy życzenia „WESOŁEGO ALLELUJA".

SWIĘTO ZMARTWYCHWSTANIA.

Z wież podniebnych wokrąg świata
Wielkanocne biją dzwony,
Głos w bezmierną dal ulata –
W tryumfalne, silne tony
Zmartwychwstania biją dzwony.

Jakiś czar rozradowania
Niosą nam ich dźwięczne tony,
Głos radosny wkrąg podzwania,
Z wież kościelnych wszystkie dzwony
W Zmartwychwstania grają tony.

Jak daleko oko sięga,
Święto głoszą dźwięczne dzwony,
Aż do krańców widnokręga
Ducha tryumf niosą tony...
Wielkanocne, boskie dzwony!

Tą cudowną dzwonów pieśnią
Cały świat rozsłoneczniony,
Nad doczesnej nędzy cieśnią
Hymn tryumfu wieszczą dzwony,
W Zmartwychwstania bijąc tony.

Ziemi dzieciom żywot wiosny,
Z siły ducha zmartwychwstanie
Kraju synom byt słoneczny,
W sławie, szczęściu wieczne trwanie –
Wszystkim życia rytm serdeczny
Grają ciągle, nieprzerwanie,
Na rozliczne – śpiewne, rzewne,
to potężne, to rozlewne,
niezmożone, dźwięczne tony,
Wielkanocne dzwony.



Z ruchu przedświątecznego: Sprzedaż palm we Lwowie.

Związek muzeów polskich i zjazd muzeologów.

Rozproszone po ziemiach polskich muzea i galerye w liczbie ogólnej wcale pokaźnej, wskutek niepomyślnych warunków naszego społecznego bytu, nie miały dotąd należytej organizacyi i koniecznego związku. Taki stan rzeczy domagał się koniecznie zmiany. To też w gronie wybitnych muzeologów oddawna już kiełkowała myśl, aby utworzyć związek wszystkich muzeów polskich, któryby utrzymywał między niemi stałą łączność. Myśl ta znalazła wreszcie urzeczywistnienie. Na odbytym w początkach b. m. w Krakowie zjeździe dyrektorów i kierowników muzeów zaaprobowano opracowany już regulamin ogólnego Związku wszystkich muzeów polskich. Statutu związek mieć nie będzie, ze względu na warunki bytowania różnych dzielnic. Do Związku należeć mogą tylko muzea polskie. Omówiono i przyjęto także program działalności i środki ku jego urzeczywistnieniu.

W zjeździe wzięli udział wszyscy prawie wybitni muzeologowie polscy, m. Kraków wysłało nań swoją reprezentacyę. Przewodniczącym zjazdu obrano p. Józefa Leskiego, dyrektora Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie, wiceprezydentami dyr. Koperę z Krakowa i dyr. Stronera ze Lwowa. Illustracye nasze przedstawiają grupę uczestników zjazdu.

Zgon twórcy nowej szkoły polskiej.

W Warszawie zmarł w tych dniach wybitny obywatel i pedagog generał Paweł Suchekomnaty z Łaniowa Chrzanowski. Zmarły był założycielem i właścicielem prywatnego gimnazyum polskiego, które przez swój doskonały ustrój i program stało się wzorem całego szkolnictwa średniego prywatnego w Królestwie. Wnuk Stanisława Chrzanowskiego dziedzica Trzepizur, Rększowic, Klepaczki i innych rozległych włości pod Częstochową, a syn Pawła, oficera wojsk napoleońskich, oddany do korpusu paziów w Petersburgu, ukończył potem prawo. Porzuciwszy stanowisko urzędowe w Syberyi wrócił do kraju i tu dzięki poparciu osobistego przyjaciela, ówczesnego ministra oświaty generała Wannowskiego został założycielem I prywatnego gimnazyum z prawami szkół rządowych. W roku 1906 pierwszy z właścicieli szkół prywatnych zrzekł się tych praw dla pozyskania wykładów w języku polskim.

Poświęcając cały swój zapał i wielką wiedzę szkole swej doprowadził ją do stanu pierwszorzędnego w całej Polce. Złożony od roku niemocą kierownictwo szkoły powierzył w ręce obecnego dyrektora p. Władysława Wójcickiego, który wraz z ciałem nauczycielskiem prowadzić ją będzie w kierunku, wskazanym przez założyciela.



Zgon twórcy nowej szkoły polskiej w Warszawie: S. p. jen. Paweł Chrzanowski.

Zmarły pisywał liczne studya, opisy z podróży i t. d., drukowane w wielu czasopismach pod nazwiskiem, bądź pod pseudonimem „Paweł Suchekomnaty“. S. p. Paweł Chrzanowski zmarł przeżywszy lat 68. Osierocił on oprócz małżonki, z domu Gilewiczówny, trzech synów: Pawła, Piotra i Aleksandra, oraz córkę Jadwigę Hoffetową, oraz liczną dalszą rodzinę, której związku był seniorem. Po-



Związek muzeów polskich i zjazd muzeologów: Uczestnicy zjazdu w Krakowie.



Dzień włościaństwa polskiego: Obrady kongresu Polskiego stronnictwa ludowego w Krakowie, podczas przemówienia posła Stapińskiego (X)

grzeb ś. p. generała Chrzanowskiego odbył się przy bardzo licznym udziale publiczności oraz wojska, które żegnało swego dygnitarza.

Dzień włościaństwa polskiego.

Przeżyliśmy w Krakowie piękny dzień, dzień ludowy. Nie tylko polityków, lecz także i obywateli, zajmujących się życiem społecznem i politycznem naszego kraju, radowały szczerze te liczne rzesze włościaństwa, przybyłe w ubiegłą niedzielę do Krakowa. Sciągnęły ich cele polityczne i narodowe: kongres Polskiego stronnictwa ludowego i wiec oświatowy, urządzany corocznie w tym czasie przez VII Koło Towarzystwa szkoły ludowej. Tak liczny napływ włościaństwa z dalekich nawet powiatów, świadczy, że uświadomienie polityczne szerokich mas ludowych czyni w Galicyi coraz pomyślniejsze postępy, że chłopi nasi, ta podstawa bytu narodowego, polityką się interesują, że się budzą, organizują, obywatelszczeją.

Głośne wypadki w naszem stronnictwie ludowem spowodowały, jak wiadomo, rozłam na „stapińszczyków“ i „długosików“ — jak się w ostych polemikach przezywają.

Zjazd ludowy w Krakowie zgromadził zwolenników obu partyj. Na kongres Polskiego stronnictwa ludowego, zwołany przez p. Stapińskiego, przybyło, jak doniosła prasa codzienna, około dwóch tysięcy delegatów, reprezentujących podobno aż 1740 gmin.

Wielką znów salę „Sokoła“ wypełnili włościanie, grupujący się koło „Piasta“, nowopowstałego organu drugiej partyi ludowej. Urządzony tam „Wiec oświatowy“ odbył się przy bardzo licznym udziale publiczności.

Nasze illustracye przedstawiają zdjęcia z obu wieców.

Dziennikarski teatr ludowy w Krakowie.

W Krakowie powstaje teatr ludowy, tym razem jako teatr Syndykatu dziennikarzy krakowskich. Powstaje po raz piąty, czy szósty z rzędu, dotychczas bowiem działalność jego, rozpoczęta jeszcze w r. 1901 pod dyrekcyą p. Knake-Zawadzkiego, często się przerywała; teatr przestawał istnieć rok lub dwa i znów budził się z letargu, dowodząc tem swej żywotności i przyjęcia się na gruncie krakowskim. Dziwnie i wielce charakterystycznie dla naszych stosunków wikłała się w ostatnich latach sprawa ustalenia bytu teatru ludowego w Krakowie. Zdobył on szeroką popularność i sympatyę zwłaszcza w latach 1909 i 1910. Trwałych skutków wszakże na dalszą metę ten pomyślny okres rozwoju sceny ludowej nie pozostawił. O rychłem wskrzeszeniu jej nie myślano i zdawało się, że powołanie jej do życia było już wykluczone na długi szereg lat, zwłaszcza, że rozpoczęły się w tym czasie w Krakowie widowiska kinematograficzne, odbierające w znacznej mierze widzów teatrowi. Ale ostatni sezon teatru ludowego pozostawił nie tylko wspomnienie sceny popularnej, tętniącej życiem, ulubionej przez tysiące ludu krakowskiego, ale wychował „par excellence“ autora sztuk ludowych. P. Stefan Turski, reżyser i wybitny artysta teatru p. Rygiera w grudniu 1910 wystawił swych kapitalnych „Krowoderskich zuchów“, wodewil, który w samym Krakowie zdobył sukces stu kilkudziesięciu przedstawień.

Obecnie autor sympatycznych sztuk z życia krakowskiego przedmieścia powraca jako kierownik teatru, objętego przez Syndykat dziennikarzy krakowskich. Energia i ruchliwość tego młodego stowarzyszenia potrafiła przezwyciężyć nader liczne trudności, a starania prowadzone przez prezesa posła Srokowskiego, niestrudzona wytrwałość w pokonywaniu licznych przeszkód redaktora Antoniego Lekszyckiego doprowadziły do pomyślnego rezultatu. Lud krakowski będzie miał swój teatr, na który czekał z upragnieniem, znajdzie w nim śmiech, rozrywkę i wzruszenie patryotyczne.

W końcu słów parę o tych, co obecnie do wskrzeszenia teatru ludowego w Krakowie się przyczynili. P. Stefan Turski, dyrektor teatru Syndykatu dziennikarzy krakowskich, był przez szereg lat artystą



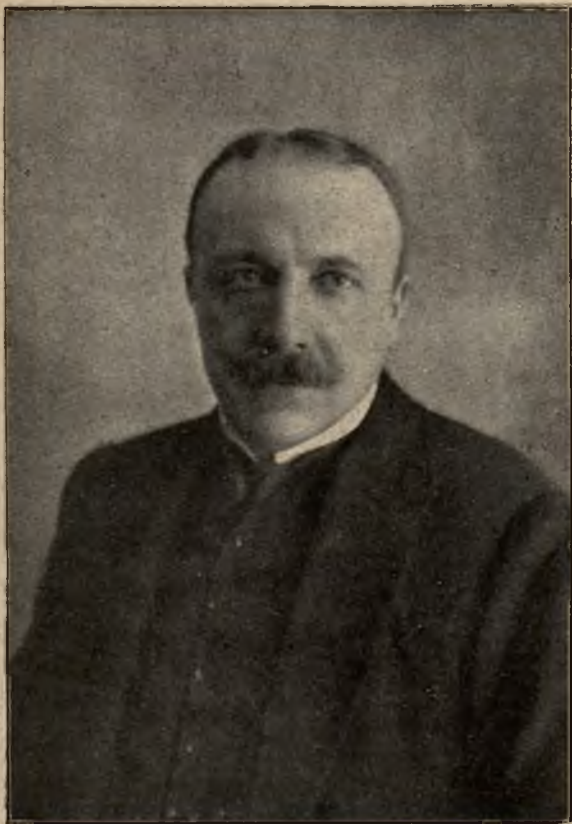
Dzień włościaństwa polskiego: Wiec oświatowy w „Sokole“ krakowskim. (X) Przewodniczący poseł Bojko.

i reżyserem teatru poznańskiego za dyrekcyi p. E. Rygiera, a następnie od r. 1909 artystą i niezmordowanym reżyserem teatru ludowego w Krakowie.

P. Konrad Rakowski, kierownik literacki teatru ludowego, znany jest jako wytrawny znawca teatru i krytyk. Był dramaturgiem teatru miejskiego za dyrekcyi p. Solskiego i rzetelne na tym terenie artystycznym położył zasługi.

P. Antoni Lekszycki, skarbnik Syndykatu dziennikarzy, jeszcze w r. 1901, gdy był prezesem Czytelni akademickiej w Krakowie, należał do grona tych akademików, co w teatrze ludowym p. Kuake-Zawadzkiego bezinteresownie i z zapałem pomagali w wystawianiu sztuk, grając w nich role i spełniając funkcye administracyjne, byle kierownikowi dopomódz w utrzymaniu kulturalnej placówki. Obecnie jako skarbnik Syndykatu p. Lekszycki jest czynnikiem nadzorczym w teatrze ludowym.

P. Edmund Zechenter, znany i ceniony autor paru tomów nowel ludowych, był również od początku powstania sceny ludowej w Krakowie gorącym jej orędownikiem w prasie miejscowej. W licznych artykułach dowodził konieczności stworzenia w naszem mieście stałego teatru ludowego i ostrzegał przed kosmopolityzującym wpływem coraz liczniej powstających przedsiębiorstw rozrywkowych, kultywujących bezmyślność i przynoszących szkodę kulturalną bezkrytycznym widzom.



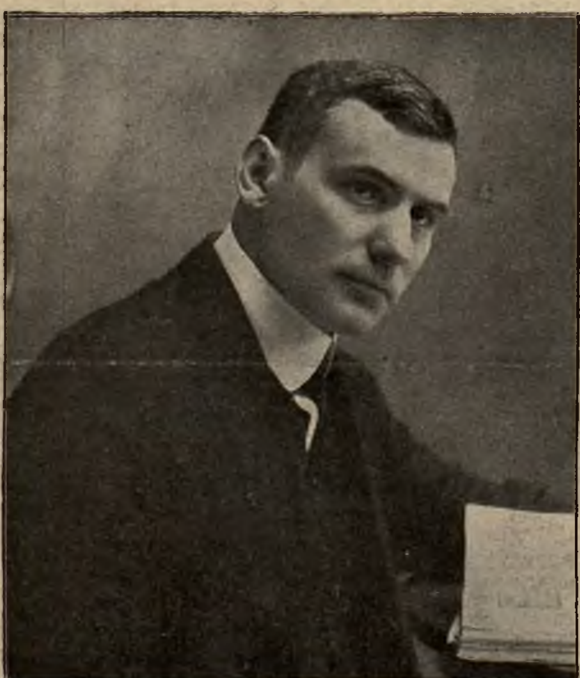
Dziennikarski teatr ludowy w Krakowie: Red. Konrad Rakowski.



Dziennikarski teatr ludowy w Krakowie: Poseł redaktor Konstanty Srokowski, prezes syndykatu dziennikarzy krakowskich.



Dziennikarski teatr ludowy w Krakowie: Red. Antoni Lekszycki.



Dziennikarski teatr ludowy w Krakowie: Stefan Turski.



Dziennikarski teatr ludowy w Krakowie: Red. Edmund Zechenter.



Dziennikarski teatr ludowy w Krakowie: Grupa artystek i artystów.

J. POWALSKI.

SZTANDARY KSIĘCIA JÓZEFA.

14

— A konie? — krzyknął Ignacy, przypomniawszy sobie.

— Ciągle kujemy, i idą. Ale odgrudziły się niektóre, tak że ciężko...

— Czekaj, — rzekł Ignacy, — przecież to mi się żołd należy? Kupimy konie...

Chciał zaraz iść. Począł się żegnać z co bliższymi, którzy go zatrzymywali. Wreszcie wydarł się siłą i przez tłum ludzi, przez dym, przedzierał się ku wyjściu. Za sobą słyszał krzyki, wrzawę, i głos jakiś opowiadający obok:

— Bo jak między maroderami znajdziemy naszego, a jest ranny, to go puszczamy wolno. Ale jak zdrów, to mu najpierw wsypiemy kilkanaście stęplów w skórę, a potem damy mu broń jakąkolwiek, by i bez kurka, i wstawimy w szereg. Tem się to dzieje, że ciągle się trzymamy. Z całej armii to przecie Polacy jedni, że broni nie rzucili. Dlatego jak niebezpieczeństwo z przodu, to nas posyłają naprzód. A jak znów z tyłu, to cała armia przewali, a my z boku czekamy i dopiero idziemy z tyłu. Potem znów cała armia czeka, a my idziemy naprzód, jak to kiedy Bagration się przysuwał... Tak to my musimy wszystko teraz sami robić, bo inni to nie zniosą takiego życia.

— Tfu! — splunął inny, — miękki naród.

— Takie z południa to nawykło do ciepła, a tu taki mróz. Ale nam czy to nowina? Żeby tak cała armia z naszych tylko była...

— Ho! ho! — z dumą przerwał tamten. — Inaczejby się to wszystko było obróciło.

Ignacy, przedarłszy się z Ptysiem przez tłum, wyszedł z dymnej i gwarnej szopy w mroźną ciemność nocną.

— Prowadź, — rzekł do Ptysia.

— To tu zaraz, — odparł żołnierz, ruszając przodem. — Ale u nas gorzej jak tu.

— Idźno, idź! — powtórzył Ignacy.

XIV.

Stary pan Józef Kleszewski, przeniósłszy się do Warszawy, poznał, że po różnorodnych fazach i zwrotach, które przez ciąg swego życia w sobie obserwował, nastąpił zwrot ostatni i końcowa epoka jego osobistej historyi.

Niegdyś, w młodości, zauważywszy, że człowiek się zmienia, mniemał radośnie, że kolejne zmiany prowadzą go niezbicie do czegoś wyższego i potężniejszego niż to, od czego wyszedł. Jednakże po przeżyciu kilku dziesiątków lat doszedł do wniosku, że alegorya o wiośnie i zimie więcej się zbliża do prawdy, i że ustroiwszy człowieka i napiąwszy jak strunę na górny ton, ta sama siła obiera go potem po kolei ze wszystkich ozdób młodości i wieku męskiego, a strunę, na której gra się życie, zluźnia, zniedołężnia, aż do wydawania niezdarnego brzęku, zamiast śpiewu, jak ongiś w młodości.

Jeszcze ponętną zagadkę przedstawiała siła myślenia, która zdaje się nie ulegać prawu starzenia. Jednakże czczą, szarą i obojętną stała się i ona dla niego, gdy rzuciły na nią swój cień nieprzejrzany zdarzenia, raniące ostatnie konstelacye uczuć. Odwiedził Antosię przed ostatecznym wyjazdem do Warszawy. Zastał ją milczącą, obojętną, obcą. Jej uśmiech, ona sama była mu jakby wspomnieniem dawnej Antosi, takiem, jak się je nieraz odnajduje po umarłych u kogoś obcego, podobnego.

Mieszkał w małym dworku na Nowym Świecie. Ruch konfederacki, którym wrzało miasto, wciągnął zwolna uwagę starego obserwatora.

Asystował uniesieniom czerwcowym, rozważał wieści radosne i szybko dobiegające o pierwszych zwycięstwach.

Potem wieści umilkły, a gdy nadeszła jesień, poczęły w mieście kiełkować podejrzenia i złe przeczucia, których samo powzięcie wydawało się na razie niedorzecznością. Niewiadomo skąd pełzły też nieoczekiwane poszepty o nadziejach i widokach, z Petersburga. Wiało nieszczęściem, jakimś rozkładem, chwianiem się.

Wtem nadeszły wiadomości dokładniejsze, i przychodziły coraz spieszniej, obficiej i coraz pewniejsze: o rozsypce, o głodzie, o mrozie, o nędzy bezprzykładnej, które zwyciężyły niezwyciężonych. Przyszła wiadomość, że wojsko mrąc i padając setkami od mrozu i nędzy ciągnie przez Litwę, z powrotem. Rzucono się przygotowywać mieszkania, kwatery, żywność, na przyjęcie żołnierza.

Pan Kleszewski na progu wszystkich myśli miał pytanie: czy syn Ignacy wróci? Gdyby to było w bitwie: ale wyobrażał go sobie ginącego z mrozu, z głodu, i wił się jak robak w bezsilności. Czującem sercem objął mękę ginących synów i bezsilnych rodziców, i truchlał, czekając na przyjście, przywleczenie się tego wojska nieszczęśliwych do Warszawy.



Rano wychodził z domu i zdążał sam nie wiedział dokąd.

Jak na krawędzi czarnej przepaści stawał nad słowami: gdybym go nie był puścił!...

Brał się za głowę bezradnie. Tumanem porywały się myśli o rozpoczętej tak niedawno odbudowie ojczyzny, i o tem co się z nią teraz stanie. Każda nić nadziei była z tem związana, a teraz zbliża się jakiś straszny obrót rzeczy, który wszystko zwali.

Zaczął się, jak przelot sępów, przejazd zwyciężonych przez miasto.

Dowiedziano się pewnego rana, że poprzedniego wieczoru przejechał Napoleon. W parę dni potem przybył chory książę Józef. I teraz już co dnia napływały bezbronne i obdarte resztki wojska i pleniły się wieści okropne i trujące jak zaraza.

Po kwaterach, po kawiarniach, po traktyerniach, ocaleni wojacy opowiadali bez wytchnienia. I słuchacze, przejęci, roznosili na wszystkie piętra wszystkich domów straszne ich losy i przejścia.

Pan Kleszowski metodą wypróbowaną długiem użyciem usiłował ratować się od wciągnięcia w ten wir przerażenia, zamieszania i rozpaczy. Trzeźwił się, zmuszając się do rozważania prawdopodobieństw. Usiłował się otrząsnąć z ogarniającego go nieruchomego zasłuchania i zapatrzenia w oblicze klęski. Jak dym ogarniała go zewsząd atmosfera upadku. A czekał i on przecież na rozstrzygnięcie istnienia i nieistnienia, życia i śmierci swego syna.

Wobec tego oczekiwania uciszała się reszta.

Czekał coraz niecierpliwiej, coraz nierówniej. Z każdym dniem, z każdą godziną, z każdą nowiną zasłyszaną wzrastał ciężar gniotący go nad siły.

Rano wychodził z domu i zdążał sam nie wiedział dokąd: ku Zjazdowi, ku mostowi Praskiemu, czy do kawiarń, gdzie schodzili się przybywający z wojny. Na popielatem niebie grudniowem wzlatywały roje czarnych kawek, które na zimę ściągnęły do miasta: ich krakanie nieustanne piłowało mu duszę tajemną, złą wróżbą. Biały śnieg okrywający strome dachy, zmarzłe błoto na ulicach, łachmany biedaków miejskich, wszystko sączyło się do jego bolących myśli jakiemiś nitkami męki, oplątywało go matnią jakichś złych przeczuć, złych losów, złego końca.

— Już się stało, — myślał, — już się rozstrzygnęło, a ja nie wiem, na którą stronę.

I wchodził do kawiarń, głodnymi oczyma wchłaniając wychudłe i nędzne postacie żołnierzy, czy nie pozna w którym kolegi Ignacego, czy nie usłyszy przypadkiem z boku wieści o nim.

Pytał czasami wprost, ale wkrótce zoryentował się, że armia wracała w tak strasznem, tak skomplikowanem zamieszaniu, że tylko przypadek mógł przynieść mu jakąś wiadomość. Pytał więc o artyleryę: na to unosili się wszyscy nad jej niezłomnością, nad energią, nad wyjątkowością. Z całej armii niezliczonej, ze wszystkich korpusów francuskich, włoskich, niemieckich, jedna tylko polska artylerya nie porzuciła swych dział, z nadludzkim wysiłkiem prowadziła je przez błota, śniegi, topiele i góry, ciągnąc w równej mierze ludźmi jak i końmi.

Słuchał, koiło go to, zadowolenie sprawiało ze względu na to, że okazał się hart narodowy w tem powszechnem rozprzężeniu. Ale nie dawało najmniejszej otuchy. Tyle, że artylerya później nadejdzie, że później przyjdzie pewność co do losu syna.

A może wzięto go do niewoli? Może ranny, został gdzieś po drodze w jakiemś mieście.

Siedział w kawiarniach, albo chodził z kimś znajomym do mostu na Zjeździe i tak czas zwolna ustępował. A gdy się ściemniło na dobre i w kawiarniach pozapalano światła, wracał z ciężkiem sercem do domu. Tu go witały te same chłodne stancye, te same ściany, które go widziały wychodzącym rano. Nikogo nie miał przy sobie, prócz chłopca do posługi. Żona z najmłodszą córką bawiła na razie w Kraśniku, synowie obaj byli w szkołach. Wracał tedy do swej samotności, w której wszystkie martwe przedmioty, meble i ściany zdawały się gadać i powtarzać to, co on tu w kółko od tylu tygodni i tylu ranków i wieczorów przemyślał w kieracie tych samych ciągle pytań, możliwości i trwóg.

I wtedy, jak ośmielone tym kołowrotem złego, wstawały wszystkie, uśpione, zapomniane, dawne i nowe rany, jak czarne korzenie, nawskróś przerastające warstwy dziejów życia. Wyrastały przed nim wrzeszczące wyrzuty, ogniste i wyraźne jak dzień: że on to zaprzepaścił majątek, w jego rękach zwolna zatonęło wszystko w długach, a gdy Antosia zrobiła tę dziecinną i najgorszą ofiarę, on w swem cierpieniu zamknął się jak ślimak przed wyciągnięciem myśli i postanowień: i niepojęcie przyjął jej poświęcenie. Tak, przyjął, skoro nie sprzedał Strzelców, tylko wydzierżawił, skoro nie wypłacił co do grosza wekslu, wykupionych przez Marcina Kraśnickiego. Jak dalsze horyzonty usprawiedliwień majaczyły gdzieś pozatem obowiązki względem reszty dzieci, którym zostaną Strzelce.

— Wobec Tadeusza przynajmniej, — mniemał z gorzkim uśmiechem, — nie mam już żadnych obowiązków, ani przewinień, gdy zginął. Leży gdzieś w Hiszpanii, daleko, nawet grobu jego nie zobaczę nigdy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z egzotycznych „tronów".

Musimy zaraz uspokoić czytelników, że nie chodzi tu o albańskiego władcę ks. Wieda, który się już dostatecznie wszystkim uprzykrzył. Tym razem jest mowa o innym króliku — potężnym władcy któregoś z plemionek murzyńskich zachodnio-afrykańskiej kolonii niemieckiej Togo. Obchodzi on właśnie uroczystość wstąpienia na swój „tron" wyniosły. W tak błogosławionym klimacie, jaki w jego „państwie" panuje, zbyt skomplikowanych kostyumów nie trzeba. Jednakże jakaś pompa być musi w tak uroczystej chwili i co się miało najlepszego, to się włożyło. Widzimy więc na illustacyi grupę starszych plemienia w imponujących płaszczach... z kołder i prześcieradeł, niektórzy w zawojach. Pośrodku zaś siedzi sam „on", nowy król, we wspaniałej koszuli bawełnianej w kolorowe paski i koronacyjnym... cylindrze. U stóp jego siedzi małe chłopię, widocznie następca tronu, w kostyumie mniej więcej adamowym, tylko nogi sobie przykrył derką. Tych, którzyby sceptycznie chcieli patrzeć na te stroje i na tę pompę „monarszą", możemy zapewnić, że Jego Murzyńska Mość czuje się nie mniej potężnym na swym tronie, niż n. p. ks. Wied w Durazzo, czego najlepszym dowodem jest, iż się tak pozwolił łaskawie sfotografować...



Z egzotycznych „tronów": Nowowybrany królik murzyński w „koronacyjnym"... cylindrze na tle grupy starszych plemienia.

Jeszcze Ulster.

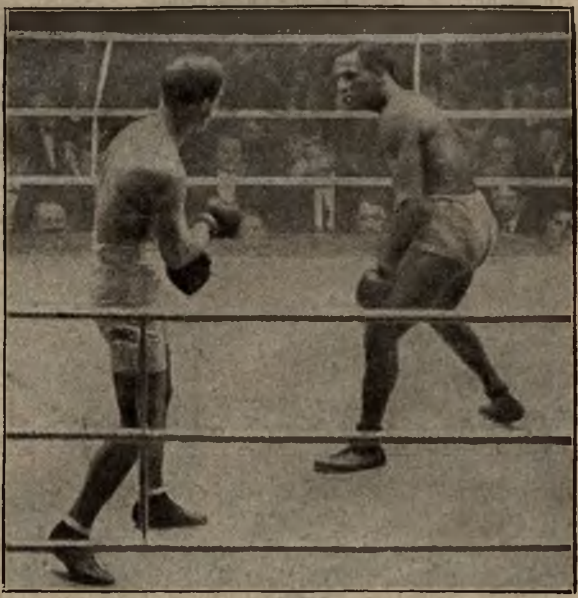
Sprawa oporu protestanckich mieszkańców prowincyi Ulster przeciw „homerule" czyli samorządowi Irlandyi staje się coraz bardziej poważną. Rewolucyi w Ulsterze wprawdzie jeszcze niema, ale za to są grube nieporządki w armii angielskiej. Jak już wskazywaliśmy poprzednio, punkt ciężkości sprawy znajduje się nie w Irlandyi, a w Anglii. Jest nim mianowicie opór konserwatywnej arystokracyi angielskiej przeciwko całemu kompleksowi reform społecznych włącznie z „homerule'm", które przeprowadza gabinet liberalny. Armia angielska jest najemna, a oficerowie jej i niżsi i wyżsi rekrutują się przeważnie ze sfer arystokratycznych. Otóż cały szereg tych oficerów, desygnowanych przeciwko rewolucyonistom Ulsteru, oświadczył krótko, że przeciwko nim w obronie homerule'a walczyć nie myśli. Na czele niezadowolonych stanął generał Gough, który jest obok głównego lorda Carsona drugim przywódcą, a minister wojny Seely popełnił tę nieostrożność, że wdał się z nim w pertraktacye i nawet podpisał jakieś warunki podyktowane przez Gougha. Prezydent ministrów Asquith wobec parlamentu nie zaakceptował tego kroku Seely'ego, wobec czego wybuchło przesilenie gabinetowe. Sprawa Ulsteru wywołała i jeszcze obiecuje sprawiać w Anglii wiele zamieszania.



Jeszcze Ulster: Lord Carson (X) przemawia na wiecu rewolucyonistów ulsterskich w m. Belfast

Zwiastuny wiosny.

Nieszczęście chce, że każdą prawie porę roku w kraju naszym żałobni zwiastują gońce; każda pora ma swych strasznych posłów, nawet okres nadziei — wiosna — zapowiada się nam smutnie klęskami i katastrofami. Uprzedzając pierwsze kwiecie i przybycie wędrownych ptaków, zawitała powódź do wschodniej części Galicyi, pogarszając i tak już beznadziejny stan gospodarczy kraju. Wystąpił z brzegów niespokojny Dniestr, a także wiele innych rzek, między innemi i San. Kilkudniowe deszcze ulewne, jakie w tych stronach padały, zasiliły tak znacznie wody Sanu i jego dopływów, że wylały już obecnie w kilku miejscach, jak: koło Krasiczyna i Krasic, dalej między Przemyślem a Dzałowcami. W samym Przemyślu zalana została część Wilcza oraz niżej położone ulice. Pod wodą stoją również okolice Radymna, liczne wsie aż do Duńkowic i wszystkie przylegające tam do Sanu wsie i osady. Podobnie groźne wieści przynoszą pisma z nad Dniestru, który koło Jaworowa, Stryja i Sambora wielkie poczynił



Bohaterowie pięści: Walka championa francuskiego Charpentier'a z Murzynem Jeannettem.





Zwiastuny wiosny: Wylew Sanu.

spustoszenia. Tak więc w stronach tych piękną wiosnę uprzedziła straszna klęska powodzi.

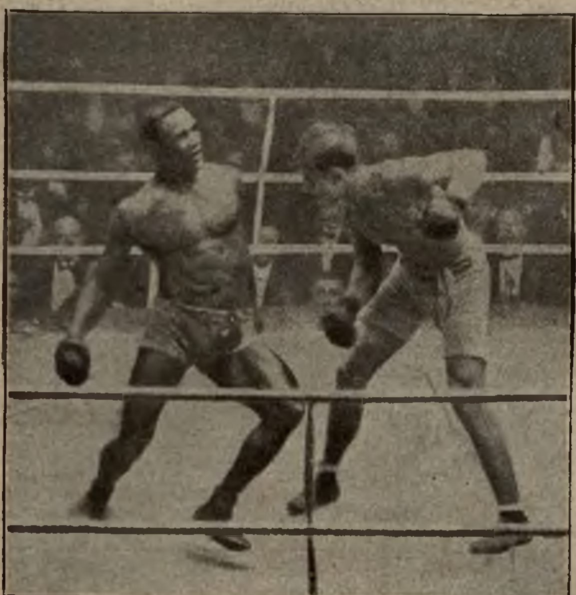
Nasze illustracye przedstawiają kilka miejscowości, najbardziej zalanych przez San.

Bursa ludowa w Przemyślu.

W myśl dewizy, że „Bursy ludowe, to żywe pomniki naszej narodowej działalności“ powstała w Przemyślu w r. 1904 taka instytucya. Na czele jej stanął zmarły niedawno burmistrz Przemyśla ś. p. dr. Doliński. Początki, jak wszędzie, były bardzo skromne, ale dziś, przy szczerych chęciach i zapobiegliwości Członków, dzięki poparciu miejscowych instytucyi finansowych, a w szczególności Kasy Oszczędności, Tow. zaliczkowego rolnego i Magistratu, Bursa ma swój byt zabezpieczony.

Przed trzema laty nabyto piękną realność, w której umieszczono 30-tu uczniów szkół ludowych, wydziałowych i kupieckiej. W najbliższym czasie zamierza wydział Tow. z dr. Angermanem, jako obecnym prezesem na czele, rozszerzyć gmach przez dobudowanie skrzydła.

Bursą kieruje od czasu założenia ku ogólnemu zadowoleniu p. Józef Ungeheuer, nauczyciel szkoły wydziałowej.



Bohaterowie pięści: Jeannette zadaje ostatni cios Charpentier'owi.

Zamieszczone w dzisiejszym numerze illustracye przedstawiają malownicze wejście do Bursy i grupę jej wychowanków z kierownikiem pośrodku.

Bohaterowie pięści.

Młody, bo zaledwie dwudziestoletni pięściarz Jerzy Charpentier, był do niedawna chlubą boksu francuskiego i championem Francyi. W przeszłym roku został także championem Europy, pokonawszy championa Anglii Wilsona, co „całą Anglię“ okryło żałobą narodową. Charpentierowi w ciągu jednej minuty przyniosło pokaźny zarobek 70.000 fr., a cały szereg Anglików, którzy w zakładach postawiali na Wilsona niesłychane sumy, naraziło na bajeczne wprost straty. A wiadomo, że Anglia jest ojczyzną i klasycznym krajem boksu, że tam kułakowanie się jest powszechnie przyjętym, najprzyzwoitszym sposobem załatwienia prywatnych sporów, tak, że policya przygląda się temu spokojnie na ulicy. I angielski bokser został pokonany przez Francuza...

Lecz Ameryka, która dystansuje „stary kontynent“ Europy w każdej dziedzinie, zdystansowała



Bursa ludowa w Przemyślu: Grupa wychowanków bursy z kierownikiem prof. Ungeheuerem w pośrodku. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Bursa ludowa w Przemyślu: Przed budynkiem bursy. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Z życia „Sokołów“: Wydział „Sokoła II.“ w Przemyślu. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

go i w dziedzinie boksu. Jak dawno dochodziły nas odgłosy niesłychanych rekordów amerykańskich pięściarzy, na czoło których wybili się ostatecznie Mu-



Minister spraw wewnętrznych baron Heinold.



Ostatnie chwile parlamentu austryackiego: Przed parlamentem: Minister robót publicznych dr. Trnka.



Minister sprawiedliwości dr. Hochenburger.

rzyni. I oto ci amerykańscy bohaterowie pięści kilka miesięcy temu dokonali niejako najazdu na Europę, zjeżdżając do Paryża i urządzając tu konkurs pięciu amerykańskich najtęższych bokserów. W konkursie tym zwyciężył Joe Jeannette, Murzyn, a raczej mulat, mieszaniec Kanadyjczyka z Negrem, rodzaj dzikiej bestyi, równie silnej jak brutalnej, równie bezwzględnej jak wytrwałej. Właściwa wogóle Murzynów twardość kości i niewrażliwość skóry została u tego egzemplarza ćwiczeniami pięściarskiemi podniesiona do nadludzkiej wprost wytrzymałości, — umiejętny zaś trening zrobił z niego wprost niesłychanie sprawną, doskonałą maszynę do boksowania. To też zaraz na początku matchu, który się rozegrał wkońcu ubiegłego miesiąca w Paryżu, widać było, że świetny, umiejętny i inteligentny bokser, ale przedstawiciel przenerwowanej rasy francuskiej Charpentier — nie będzie mógł wytrzymać walki z tą potężną organizacyą fizyczną.

Przewidywania się sprawdziły. Match zgromadził w Luna-parku około setki tysięcy widzów, którzy byli stronnikami Charpentiera i z rozpaczą poprostu patrzyli, po piętnastem spotkaniu, na zwycięstwo Mulata.

Nasze illustracye przedstawiają, pierwsza: wstęp do walki, druga: tę chwilę, kiedy Mulat zadaje ostatni okrutny cios Charpentierowi w twarz.

Polscy studenci w Wiedniu.

Polacy na Akademii eksportowej w Wiedniu, popularnej u nas najwyższej uczelni handlowej są zorganizowani w „Kole polskich słuchaczy Akademii eksportowej „Ognisko“. Koło w pięcioletniej swej działalności, potrafiło zebrać pokaźną bibliotekę fachową (z górą 500 tomów) oraz zestawiło piękny zbiór towaroznawczy a od lat trzech wydaje skrypta dla słuchaczy Akademii, które swym członkom wypożycza bezpłatnie. Obecnie uczci „Koło“ swe pięciolecie przez wydanie sprawozdania ze swej działalności. Ilość członków koła wynosi 48. Na walnem zgromadzeniu odbytem 28 z. m. został wybrany nowy Wydział. „Ognisko“ daje wszelkie informacye po które kandydaci do akademii zechcą się zgłaszać pod adresem: Koła polskich słuchaczy Akademii eksportowej „Ognisko“ Wiedeń IX Berggasse 16.

Nasza illustracya przedstawia ustępujący dawny Wydział „Ogniska“.



Polscy studenci w Wiedniu: Wydział Koła polskich słuchaczy Akademii eksportowej.

Z życia „Sokołów“.

„Sokół“ przemyski pomyślnie się rozwija a obok głównego gniazda powstają paralelki, grupując coraz więcej członków i zwolenników tego pożytecznego zrzeszenia. Ostatnio znów za sprawą energicznego druha p. Maryana Doskowskiego, założyciela Towarzystwa ekonomicznego, na Zasaniu w Przemyślu powstał pierwszy wydział Sokoła II., który w tych dniach się ukonstytuował.

Pierwsze walne zebranie członków nowego wydziału powołało do prezydyum pp. K. Plinkiewicza (przewodniczący) i M. Doskowskiego oraz K. Frankowskiego jako jego zastępców.

Nasza illustracya przedstawia uczestników tego walnego zebrania.

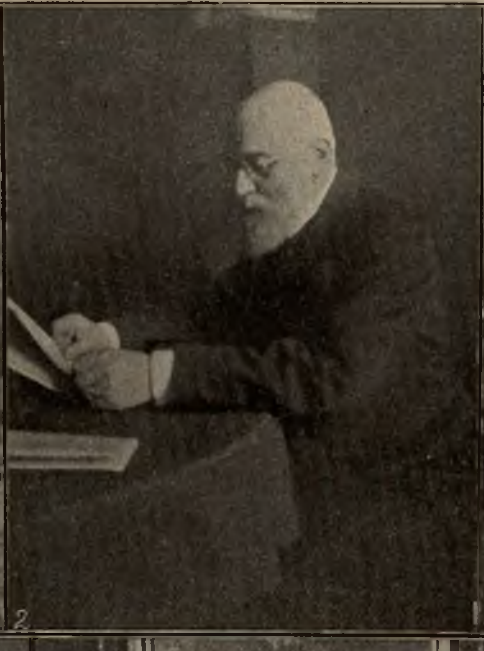
Ostatnie chwile parlamentu austryackiego.

Parlament austryacki oddawna choruje na chroniczny upadek sił i rozstrój funkcyj organicznych. Rozdzierają go wewnątrz spory narodowościowe, które przeniesione z krajów koronnych na teren parlamentarny, powodują rozbicie na zwalczające się namiętnie stronnictwa i wreszcie obstrukcyę, tamującą zupełnie obrady. Z zewnątrz zagrażają mu ciągle anti-konstytucyjne tendencye kół rządowych, które pragną uwolnić się od kontroli przedstawicieli ludności i gospodarować według swego widzimisię. Skupienie tych warunków powoduje peryo-

dycznie co czas jakiś ustanie prac parlamentu i zawieszanie konstytucyi poprostu na kołku.

Tak się stało w połowie ubiegłego miesiąca. Po długo trwającej obstrukcyi czeskiej w parlamencie, a niemieckiej w Czechach, wobec niemożności usunięcia waśni czesko-niemieckiej — sesya parlamentu została nagle odroczoną i ogłoszone rządy osławionego paragrafu 14-tego. Nie mogąc doczekać się aprobaty Izby, rząd w krótkiej drodze rozporządzeń załatwił t. zw. „konieczności państwowe“ tj. uchwalił najpilniejsze kredyty w sumie przeszło 700 milionów kor. i zarządził powiększenie kontygentu rekruta o 65.000 ludzi. Wszystkie zaś konieczności ludowe — zapobieżenie następstwom klęsk elementarnych, nędzy wychodźców, roboty inwestycyjne dla podniesienia rolnictwa, przemysłu i handlu, pragmatyka urzędnicza — czekają lepszych czasów, które niewiadomo kiedy nastąpią. W ten sposób 30-milionowa ludność austryackiej połowy monarchii została bez możności zaspokojenia w drodze normalnej swoich najważniejszych i najpilniejszych potrzeb.

Ten stan rzeczy, rządy bezkonstytucyjne i bezparlamentarne, może potrwać długo. Mówią, że parlament może będzie zwołanym dopiero w lutym










Ostatnie chwile parlamentu austryackiego: 1) Gmach ministerstwa dla Galicyi i p. Frankowski, pierwszy woźny od czasu powstania ministerstwa. 2) Były prezes Koła Polskiego dr. Łazarski. 3) Posłowie: Wł. Tetmajer i dr. Wróbel. 4) Fragment z sali kolumnowej parlamentu 5) Trzy ekscelencye w kuluarach parlamentu: Długosz, Abrahamowicz i dr. Leo. 6) Dr. Głąbiński w biurze parlamentu. 7) Prezydyum parlamentu austryackiego. Siedzą: wiceprez. Romańczuk (Rusin), prezydent Sylvester (Niemiec), wiceprez. Pogacznik (Słow.). Stoją: wiceprezydenci Jukl (Niemiec), Conci (Włoch), Pernersdorfer (niem. soc.), dr. German (Polak) i Zdarsky. 8) Dr. W. Jabłoński, generalny sekretarz Koła Polskiego. 9) Dziennikarze: Grott („Gazeta Narodowa“) i Nowicki („Polnische Post“), 10) Redaktor Bazylewski („Polnische Nachrichten“), 11) Redaktorzy: Inlender („Czas“), Kwaszewski („Nowa Reforma“) i Koperski („Nowości Illustrowane“).

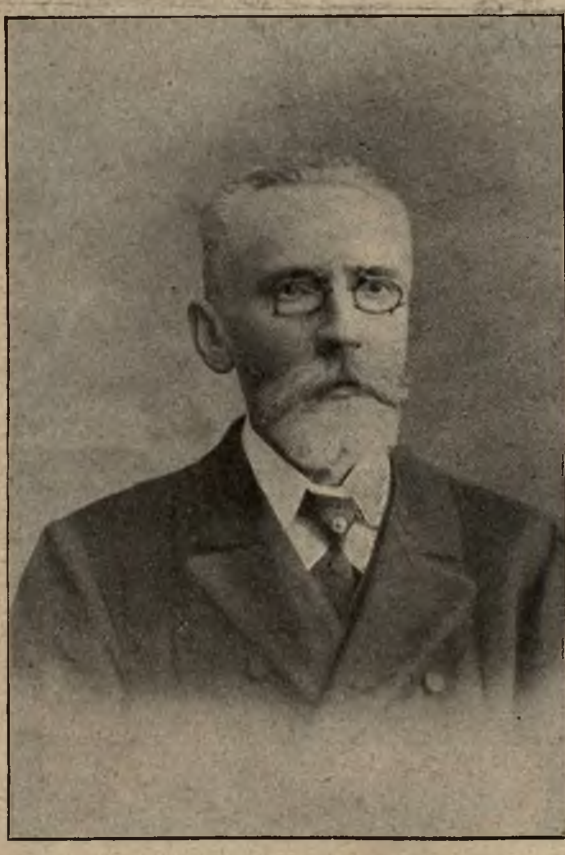


Z życia prowincyi: Teatr Ludowy w Brzeżanach.

roku przyszłego. Na cały więc rok prawie opustoszał grecki gmach na Franzenringu, ustała praca w biurach, ruch i pogawędki w kuluarach parlamentarnych, namiętne spory w sali obrad. Istnieje obawa, że przez czas tak długi ludność może zapomnieć o swoich wybrańcach i o tych wszystkich wogóle, którzy maszynie parlamentarnej pomagali funkcyonować. Aby zapobiedz tej ewentualności illustracye nasze przynoszą podobizny wybitnych parlamentarzystów, ministrów, dziennikarzy i korespodentów, gmachy ministeryów, wnętrze parlamentu i t. d.

Zgon obywatela.

We Lwowie zmarł jeden z najpoważniejszych pracowników w ciałach samorządnych miasta, wy-



Zgon obywatela: S. p. Karol Szajer, b. wiceprezydent m. Lwowa.

bitny kupiec i obywatel — ś. p. Karol Schayer. Jako właściciel znanego handlu, wieloletni radny miejski i I. wiceprezydent miasta oraz izby handlowo-przemysłowej, należał zmarły do popularnych osobistości Lwowa. Lwowianin z urodzenia, poświęcił się zawodowi kupieckiemu i przez całe swe życie dążył do jego podniesienia. Pracował przez wiele lat w Stow. kupców i młodzieży handlowej, gdzie był seniorem, a następnie dyrektorem przed ś. p. Markiewiczem. W uznaniu zasług około towarzystwa położonych, mianowany został członkiem honorowym. S. p. Schayer należał do najczynniejszych członków lwowskiej Izby handlowej i przemysłowej, w której prezydyum zasiadał przez wiele lat, zasiadał w Radzie nadzorczej Banku krajowego, w zarządach wielu instytucyi finansowych, pracował jako cenzor banków, członek komisyi podatkowych i t. d., oddając zawsze ochotnie na usługi publiczne swój czas i zdolności.

Miał sąd trzeźwy, wytrawny i kierował się wyłącznie tylko względami na dobro miasta. Odznaczał się on bezinteresownością i charakterem czystym jak łza. Jako kupiec wraz swym bratem Julianem postawił znany od kilkudziesięciu lat sklep na stopie pierwszorzędnej.



Jeszcze Ulster: Przegląd rewolucyjnej, armii ulsterskiej.

Z życia prowincyi.

Prowincya, „świat zabity deskami", ma też swoje przyjemności, a mianowicie sprzyja doskonale życiu towarzyskiemu, n. b. o ile mieszkańcy jakiejś miejscowości skłonni są, no i zdolni utrzymywać dobre stosunki towarzyskie. Do takich szczęśliwych miast należy Przemyśl, gdzie liczni wojskowi tamtejszej załogi nadają życiu miasta ruch, będąc „duszą" inicyatorami licznych rozrywek. Kasyno wojskowe jest ogniskiem wszystkich zabaw, skupiając licznych gości nawet ze sfer „cywilnych". Ostatnią atrakcyą zabawy, urządzonej przed kilku dniami, był występ panieńskiej orkiestry amatorek, któremi dyrygowały córki kapelmistrza p. Cervenki. Popis orkiestry zdobył zupełny sukces, a produkcye jej oklaskiwano gorąco. Podajemy tę sympatyczną grupę młodocianych artystek, z których najmłodsza czellistka ma wzrost „dorosłej" wiolonczeli.

W Brzeżanach znowu powstał pod kierunkiem p. Gabryela Laxa amatorski teatr ludowy, grywający z powodzeniem sztuki ludowe i operetki. W ostatnich dniach z. m. wystawiono operetkę ludową t. p. „Chłop arystokrata", którą grano przy szczelnie zapełnionej widowni. Publiczność bowiem brzeżańska popiera życzliwie swój teatr, uczęszczając chętnie i gromadnie na jego przedstawienia.



Z życia prowincyi: Amatorska kapela panieńska w Kasynie wojskowem w Przemyślu.

(Fot. M. Todt, Przemyśl).

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

19

— Bamboul dobrze znać smak chininy, bo pan mój zawsze to używał, tam, w Afryce... Gorzki i słony bardzo gorzki — a to co pan Gewolski daje mojemu panu, wcale nie jest gorzkie... wcale nie!

— To czysta woda! — zawołał murzyn zgrzytając wściekle zębami. — I dlatego to, Bamboul nie lubić pana Gewolskiego! bardzo nielubić! Czysta woda! Bez lekarstwa!

— Ah do dyabła — syknął Jan le Kerlack.

Jakże ten fakt charakteryzował dobrze tego łotra Gerfant'a. Leczył chorego i pozwalał mu ginąć, bez użycia potrzebnego lekarstwa!

— Słuchaj Bamboul! Musisz raz jeszcze powtórzyć to doświadczenie. Postarasz się o kilka kropel tego płynu, tak... małą łyżeczkę i dasz mi to jutro!

— Ah! — zawołoł Bamboul uradowany — jak dobrze Bamboul zrobić, że powiedzieć panu Morel!

— A teraz trzymaj tylko dobrze język za zębami.

— I co zrobimy?

— Postanowić coś — a Bamboul musi ślepo to wykonać, jeżeli ma do mnie zaufanie! Wykonasz Bamboul?

— Wykonam!

— Przedewszystkiem staraj się nie zwrócić uwagi tą uradowaną twarzą, gdy wrócisz do domu i nie dziw się niczemu — rozumiesz Bamboul! niczemu!... co bądź by się stało.

— A co to pan Morel chce zrobić? — szepnął zaniepokojony murzyn.

— Ani słowa więcej! bo przestanę się wszystkiem zajmować.

— — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz, gdy malarz odwiedził lorda Cateley, zastał go w tym samym stanie co dnia poprzedniego.

Jan le Kerlack przyniósł ze sobą fotografie, które, jak mówił oglądnął dokładnie i wyraził wielkie zadowolenie i wdzięczność za powierzenie mu tak cennych prac. Ale zanim ostatecznie zabierze się do tej roboty, musi choć na jeden dzień udać się do zamku Caletey, i właśnie przyszedł prosić lorda, by zechciał skreślić kilka słów do marszałka zamku, mogących mu wstęp ułatwić. Jan le Kerlack chciał wyjechać jeszcze tego samego dnia wieczorem, on miał zamiar powrócić trzeciego dnia z ostateczną odpowiedzią i kosztorysem swojej pracy.

Ponieważ jednak John-Harry czuł się bardzo osłabionym i rozmowa go widocznie męczyła, Jan le Kerlack odebrawszy od miss Ewangeliny kartkę, dającą mu możność zwiedzenie zamku Cateley, pożegnał się szybko i odszedł.

John Harry czuł się gorzej; do lekkiej gorączki przyłączyły się nudności i dolegliwości żołądkowe. Zaniepokojona miss Ewangelina zawezwała telefonicznie doktora Gewolskiego. Doktor nie zdawał się być zdziwionym pogarszającym się stanem chorego. Nadmienił nawet miss Ewie, że pogorszenia tego się spodziewał i zaaplikował choremu jeszcze silniejszą dawkę chininy, mówiąc, że jeżeli i teraz nie osiągnie pożądanego rezultatu, będzie musiał użyć ostatniego trochę ryzykownego środka. Srodek ten, niedawno odkryty przez doktora Froeliga, był tak silnym, że działał momentalnie, zwalczając najuporniejszą febrę, lecz nie każdy organizm mógł go znieść z tym samym dobrym skutkiem.

— A dlaczegóż ociągasz się jeszcze, doktorze? — zapytał John Harry słabym głosem.

— Nie mogę sam brać odpowiedzialności za to przedsięwzięcie — odparł Gewolski. — Jeżeli lord pozwoli zwołamy konsylium.

Gdy doktór opuścił mieszkanie lorda Cateley, miss Ewangelinę ogarnął nagle wielki niepokój. A może Gewolski ich oszukiwał? Może John Harry był dotknięty niebezpieczną chorobą, której nazwy miss Ewangelina w dziewiczej swojej skromności nawet przed sobą wymówić nie mogła... oddaliła więc czemprędzej Sintre i Bamboula od łóżka chorego i delikatnie rumieniąc się, i płacząc poczęła badać brata. John Harry był tak osłabiony, że przez długą chwilę nie mógł zrozumieć dyplomatycznych słów siostry, lecz gdy w końcu pojął ich znaczenie, lekki uśmiech pojawił się na jego wynędzniałej twarzy i ująwszy rękę miss Ewangeliny, starał się ją uspokoić.

W tej samej chwili rozległ się odgłos dzwonka w przedpokoju i prawie równocześnie donośny głos Bamboula, który wołał zdziwiony i uradowany:

— Oh! jakże to! Pan Morel nie pojechał do Anglii?

Na te słowa, ktoś, głosem podobnym bardzo do głosu malarza, odpowiedział:

— Mylisz się, mój przyjacielu! Nie jestem wcale panem Morel i do Anglii wcale się nie wybierałem. Pragnę się widzieć z miss Ewangeliną Goldenspech.

Miss Ewangelina powstała drżąca i blada ze wzruszenia:

— To on! To on! Słyszysz John Harry! Poznałam jego głos! To on!

— Proszę powiedzieć miss Goldenspeech — mówił dalej ten sam głos — że jestem Piotr Sebonnier i że przybywam na jej wezwanie, wyczytane w dzienniku włoskim w Genewie.

Jednym skokiem miss Ewa znalazła się w drzwiach przedpokoju.

— Pan Sebonnier?

— Tak miss Ewo!

— Jaki pan dobry, że pan tak prędko przybył na moje wezwanie! Oh! jak to ładnie z pana strony.

— Słowa ogłoszenia były tak naglące, miss Ewo! Sądziłem że chodzi o życie drogiej pani osoby, więc jestem.

Piotr Sebonnier łudząco przypominał zacnego malarza Marela, tylko nosił odmienne ubranie. Miał na sobie jasny garnitur angielski i sztywny, mały filcowy kapelusz w ręce.

— Widzę, że pan naprawdę jest moim przyjacielem, drogi panie Sebonnier — mówiła rozpromieniona miss Ewangelina.

— I nie myli się pani, miss Ewo. Wzruszyła mnie bardzo pamięć pani, a że w życiu tak łatwo o zapomnienie.

— Ah! czyż ja mogłam zapomnieć o panu, kochany panie Sebonnier. — Tak często myślałam o panu i żałuję tylko, że wcześniej się z panem spotkać nie mogłam.

— A więc, o cóż to chodzi, miss Ewo? Czy znowu te nieznośne migreny?

— Oh! nie żartuj pan! Gdybyś pan wiedział wszystko! Ale chodźmy! zaprowadzę pana do brata.

Na widok gościa wchodzącego z siostrą, lord Cateley zawołał ze zdziwieniem:

— Ależ to pan Morel!

— A co? czy nie mówiłam — odparła miss Ewa. — Czy nie są podobni do siebie, jak dwie krople wody! I gdyby tak pan Morel, który obecnie znajduje się w drodze do Anglii, stanął obok pana Sebonnier możnaby łatwo pomylić się i wziąć jednego za drugiego.

Błysk niepokoju przemknął po twarzy Piotra Sebonnier, bo Bamboul, który niepostrzeżenie wsunął się do pokoju, stanął teraz naprzeciw nowoprzybyłego i przenikliwie wpatrując się w niego, oczami i ruchem rąk wyrażał najwyższe zdumienie! To był pan Morel, a przecież nie on! Biedny Bamboul był wprost przerażony tem spostrzeżeniem.

Tymczasem miss Ewa mówiła do Piotra Sebonnier.

— Ten głupi murzyn bierze pana za kogo innego. Znamy pewnego malarza od kilku miesięcy, który jest tak podobny do pana, że pierwszego dnia byłabym przysięgła że to pan, panie Sebonnier. Ale teraz niech pan pozwoli przedstawić sobie brata. Lord Cateley. — Ruchem ręki oddaliła Bamboula, który mrucząc coś pod nosem ociągając się wyszedł z pokoju.

— Skoro jesteśmy sami, miss Ewo — przemówił poważnie Piotr Sebonnier, bacznie wpatrując się w chorego — czy zechce mi pani powiedzieć przyczynę, dla której tak gorąco pragnęła pani mnie widzieć?

— Mój brat jest chory, kochany panie Sebonnier — odpowiedziała miss Ewa drżącym głosem — a że uważam pana za lepszego lekarza, od tych wszystkich, którzy się nim opiekują...

— Ależ droga miss Ewo, przecież ja nie jestem sławnym lekarzem!

— I właśnie może dlatego budzi pan więcej zaufania — wtrącił John Harry. — Wiedza człowieka podróżującego ciągle może być bardzo rozległą.

— Lordzie Cateley — odrzekł Piotr Sebonnier — wierzaj mi, nie jestem ani uczonym, ani badaczem, ale przyznać muszę, że doświadczenie, jakiego nabrałem podróżując po wszystkich krajach świata, dość cenne do tej pory wykazało mi rezultaty. Starać się więc będę według swoich sił, aby zaufania, jakie mi państwo okazujecie, okazać się godnym. Na co pan cierpi, lordzie Cateley?

— Ja kilkakrotnie zapadałem na silną bardzo febrę — odrzekł John Harry — ale nigdy jeszcze gorączka ta nie była tak uporczywą i wyczerpującą jak obecnie. Sprawy sobie zdać nie mogę co to jest. Leczą mnie najsławniejsi lekarze Paryża, między nimi doktór Gewolski. Pomoc ich jest ciągle bezskuteczna, bo czuję, że z dniem każdym jest mi gorzej, że tracę resztki sił! Możeby pan mi wskazał coś radykalnego. Lekarze uczeni śmieją się „z babskiego leczenia", jak to nazywają, ale ja sam wierzę, że w pewnych wypadkach doświadczenie większe osiągnąć może skutki od suchej i surowej wiedzy fachowej. Panie Sebonnier, nie pragnę śmierci i za dobrą i skuteczną radę, będę umiał się wywdzięczyć! Jeżeli pan pragnie zakończyć już to cygańskie życie i osiedlić się w kraju, może pan liczyć na moją pomoc.

— O wdzięczności jeszcze mówić zawcześnie, lordzie Cateley. Jeżeli jednak pan pragnie zaraz się z tem załatwić, to zechce mi pan tylko zwrócić koszta podróży tak, żebym pobytu tutaj nie potrzebował uważać za czas stracony, bo sobie na to jeszcze pozwolić nie mogę, no i w przyszłości obdarzy mnie pan może swoją przyjaźnią! Wspomniał pan o porozumieniu się z doktorami, którzy pana leczą; otóż ja z tymi panami wcale nie pragnę się widzieć. Każdy lekarz zazdrosny jest o szczęśliwszego kolegę i gdyby mi naprawdę udało się posłużyć panu dobrą radą, mogliby słusznie żywić do mnie urazę. Czy pan oczekuje tych panów dzisiaj?

— Dzisiaj nie, a doktór Gewolski przybyć może tylko na specyalne moje wezwanie.

— Niechże mi pan więc dokładnie opisze swoje dolegliwości.

— Oto, widzi pan, czułem się zupełnie zdrowym przybywszy do Europy i doprawdy niczem nie mogę sobie wytłumaczyć obecnego mojego stanu. To przyszło tak nagle i tak odmienne od tych zwykłych napadów febry, jakie mnie nawiedzały w Afryce!... Tam, to było podniecenie bardzo silne, trwające kilka godzin, podczas gdy teraz czuję ogromne przygnębienie, bezwład ogólny całego ciała, który dochodzi do mózgu, tak że tracę świadomość istnienia, w uszach szum nieznośny... język odmawia posłuszeństwa!... a potem... potem...

Głos lorda Cateley był coraz cichszy... urywany. Podniecenie, wywołane przybyciem Piotra Sebonnier, ustąpiło nagle ociężałości, powieki ciężko opadły na oczy. John Harry usiłował otrząsnąć się z tego stanu, lecz tylko cichy szept wybiegł z jego ust:

— Oh! oh! znowu to przychodzi... znowu. Nie mogę panu tego wytłumaczyć... Ewo!... powiedz panu... zawołaj Bamboula...

Ostatnim wysiłkiem woli uniósł się jeszcze na poduszkach, lecz w tej samej chwili opadł ciężko i zapadł w stan zupełnego otrętwienia.

— Lord Cateley życzył sobie, by przywołać jakiegoś Bamboula — rzekł Piotr Sebonnier pochylając się nad chorym i obserwując go bacznie. — Czy to ten murzyn?

— Tak — odpowiedziała miss Ewa. — To Bamboul. Brat go przywiózł z Afryki.

— I zapewne od lat kilku jest w usługach lorda Cateley?

— Tak jest.

— To proszę go prędko zawezwać. Jego spostrzeżenia mogą mi być pomocne.

Miss Ewa zadzwoniła; Bamboul, który zapewnie podsłuchiwał pod drzwiami, ukazał się natychmiast. Cicho na palcach, podsunął się do łóżka.

— Trzeba cicho mówić, bardzo cicho — szepnął ostrzegająco. Sintra być przekonany, że to pan Morel! Tylko pan Morel nie mieć takiego kapelusza i takiej walizy, co stoi w przedpokoju!

Ah! do dyabła! — zaklął Piotr Sebonnier — zapomniałem o walizie! Czy w tym mieszkaniu jest drugi służący?

— Jest Sintra, Hindus, kłamca, fałszywy człowiek! — odpowiedział pogardliwie murzyn.

— Jest nas już troje wtajemniczonych — uśmiechnął się Piotr Sebonnier — a niewiem czy ten... Sintre.

— Tak, tak, panie! Sintra nie kochać lorda, tak jak Bamboul!

— Aha! Więc Bamboul kocha swojego pana! Bardzo dobrze! Będziemy więc wspólnie czuwać i opiekować się chorym! Nikt więcej nie będzie nam potrzebny!

— Ale Sintra może przyjść słuchać! — odparł Piotr Sebonnier.

— Ja to zaraz załatwić.

Bamboul wszedł do przyległego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Drzwi te prowadziły do kuchni, w której znajdował się Hindus.

— A teraz — rzekł Piotr Sebonnier — słucham cię, mój przyjacielu.

Gdy murzyn skończył swoje opowiadanie o chorobie lorda Cateley i wspomniał o spostrzeżeniach poczynionych co do objawów tejże choroby, które

wydawały mu się nienaturalne i niebezpieczne, Piotr Sebonnier zapytał:

— Gdzie jest preparat chininy, którą używał dotąd lord Cateley?

— Doktor Gewolski sam go zawsze przynosi — odpowiedziała żywo miss Ewa. — I sam czuwa nad wymiarem dozy.

— Szkoda! — Chciałbym bardzo zbadać ten preparat. — Czy nie pozostało choć kilka kropel w strzykawce, której Gewolski używa?

— Zabiera ją zawsze ze sobą — odpowiedziała miss Ewa.

Ale Bamboul, słysząc te słowa uśmiechnął się tryumfująco. Kocimi ruchami wsunął się do przyległego pokoju i wyszedł stamtąd, niosąc z oznakami wielkiej troskliwości małą, srebrną łyżeczkę na dnie, której znajdowało się kilka kropel bezbarwnego płynu. Jednakże zawahał się chwilę, zanim ten cenny nabytek oddał do rąk Piotra Sebonnier. To było przeznaczone dla pana Morela i dumnym się czuł, że mógł nieznacznie podejść doktora Gewolskiego i bez zwrócenia jego uwagi ulać kilka kropel z płynu, który tak pragnął zbadać jego stary przyjaciel.

Ale Piotr Sebonnier szybkim ruchem wyjął mu łyżeczkę z ręki.

Nie wiele tego zostało! — szepnął Bamboul.

— Wystarczy jednak do zbadania — odparł Piotr Sebonnier, niosąc ostrożnie łyżeczkę do ust. Miss Ewa z niepokojem i ciekawością przypatrywała się gościowi.

Piotr Sebonnier milczał, jakgdyby zastanawiając się, poczem wstał i upewniwszy się, że lord Cateley jest jeszcze pogrążony w śnie głębokim, powrócił do zajmowanego miejsca i rzekł głosem cokolwiek drżącym:

— Miss Ewo i ty, Bamboul, mam nadzieję, że to, co się tu mówi i robi, nie wyjdzie po za ściany tego pokoju? Miss Ewo! czy przysięgnie mi pani nie wtajemniczyć doktora Gewolskiego w moje zamiary uzdrowienia lorda Cateley?

— Przysięgam na Biblię — odpowiedziedziała uroczyście stara panna.

Bamboul zaś dziwacznymi ruchami, które wywołały lekki uśmiech na usta Piotra Sebonnier, przysiągł również głębokie milczenie.

— Zdaje mi się, że ktoś chodzi po przyległym pokoju — rzekł nagle Sebonnier nadsłuchując. — Miss Ewo proszę zobaczyć co to jest?

Zaledwie stara panna powstała z krzesła, Piotr Sebonnier szybko przystąpił i zapytał szeptem:

— Powiedz mi, mój przyjacielu, skąd przyszła ci myśl zachowania kilka kropel tego preparatu?

Bamboul, zaskoczony tem pytaniem, nie wiedział co powiedzieć. Jakże pragnął w tej chwili, aby ten pan był poczciwym panem Morelem! Wlepił rozpaczliwe spojrzenie w twarz Piotra Sebonnier i wyszeptał z trudem:

— Oh! panie! mój panie!... Jeżeli pan nie jest, tym czem jest... tylko tamtym... Bamboul już nic nie rozumieć!

— Jeżeli tak dziwne rzeczy dzieją się w jakimś domu, to jasne, że wszystkiego od razu pojąć nie można — odpowiedział spokojnie Piotr Sebonnier. — Jednakże z słów twoich wznoszę, że w umyśle twoim zrodzić się musiało jakieś podejrzenie? I wpadłeś na myśl, mój przyjacielu, że panu twojemu, zamiast chininy, wstrzykują czystą wodę lub coś podobnego?

— Tak, panie — odpowiedział ogłupiały zupełnie murzyn.

W tej chwili powróciła miss Ewa, oświadczając, że nie zauważyła nic podejrzanego.

— Miss Ewo — rzekł Piotr Sebonnier — sądzę, że posiadam zupełne zaufanie pani. Proszę więc teraz o pozostawienie mnie sam na sam z chorym. Gdy przebudzi się, muszę mu zakomunikować rzecz nader ważną i od niego tylko może zależeć dalsza akcya ratunku, bo on jeden tu teraz decydować może.

— Niech pan czyni według swojej myśli, kochany panie Sebonnier — odpowiedziała miss Ewa. Cokolwiek postanowicie z moim bratem, musi być dobrze.

Lekarstwo Bamboula.

W kilka dni później konsylium złożone z kilku najsławniejszych lekarzy zebrane było w salonie lorda Cateley. Debatowano nad nowym środkiem profesora Froeliga, jedynym, zdaniem Gewolskiego, mogącym przywrócić zdrowie jego pacyentowi. Wyczerpał był on, jak mówił, wszystkie środki zalecane przez największe sławy europejskie bez najmniejszego rezultatu, potęgował dozy chininy, zastosowywał chloroform, arszenik, kokainę, przeprowadził kuracyę zimną wodą, natryski, kąpiele, udał się do środków przeczyszczających i wytwarzających przemianę materyi!... Wszystko to było bezowocne!...

Srodek profesora Froeliga, specyalnie dla Gewolskiego przysłany z Niemiec, był trochę ryzykowny, ale sądził, że wobec stanu chorego, pogarszającego się z dniem każdym, nie było można się wahać. Tembardziej, że chory i siostra jego godzili się chętnie na to ostatnie doświadczenie, odpowiedzialność więc żadna nie będzie mogła ciężyć na kimkolwiek. Zebrani lekarze zagaili krótką rozprawę, dla formy i zgodzili się również na wywody sławnego kolegi, którego imię dostateczną było dla nich rękojmią.

Lecz w chwili, kiedy zapaść miała ostateczna decyzya, weszła do salonu miss Ewa, dziwnie blada i pomieszana.

— Przepraszam najmocniej panów, że przerywam ich konferencyę...

— Już żeśmy ją ukończyli — rzekł Gewolski.

— I z jakim rezultatem?

— Koledzy moi potwierdzili tylko moje zdanie, miss Ewo, które również i pani jest znanem.

— Chcę jednak panów prosić, ażeby zechcieli wstrzymać się jeszcze chwilę — rzekła miss Ewa. — Srodka polecanego przez pana Gewolskiego nikt z obecnych tu panów nie zna i wiedzieć nie można, czy będzie właściwie zastosowany w chorobie mojego brata. A tu właśnie jest ktoś, do którego mam nieograniczone zaufanie i któryby doświadczeniem swojem i wiedzą mógł rozproszyć ostatnie wątpliwości.

I, nie czekając na odpowiedź, miss Ewa odsunęła się od drzwi i przepuściła przed sobą z oznakami wielkiego uszanowania osobistość, która wchodząc skłoniła się wszystkim obecnym, uśmiechając się dobrodusznie.

Na widok nowoprzybyłego nagła bladość wystąpiła na twarz Gewolskiego. Drżenie przebiegło po jego postaci i musiał się silnie uchwycić stołu, aby nie upaść.

— Czuję się doprawdy zawstydzonym, że ośmielam się wchodzić w tak poważne towarzystwo — rzekł nowoprzybyły — z radą moją nieproszoną. Ale choć prostym jestem człowiekiem i obcą mi jest erudycya szanownych panów, jednak podróżując od lat tylu po świecie, wiele widziałem i dużo się nauczyłem.

— Pan pozwoli, że wytłumaczę tym panom powód, dla którego tu pan się znajduje — przerwała miss Ewa:

— Tak jak i mój biedny brat, doznawałam niegdyś dolegliwości, na które wiedza lekarska nie umiała znaleźć rady. Ale znalazł ją oto tu obecny pan Piotr Sebonnier, którego poznać szczęście miałam w ciągu jednej mojej podróży. Od dnia tego powróciłam do zdrowia. A teraz, widząc, że pomimo pomocy panów, pomimo waszych starań i opieki brat mój z dniem każdym czuje się gorzej, chwyciłam się ostatecznego środka,. tak jak to czynią kobiety wiejskie, które odrzucają pomoc lekarską, aby leczyć się zwykłymi, domowymi środkami. Nie chcę, abyście panowie sądzili, że pan Sebonnier jest szarlatynem. Wierzę w niego i w jego zdolności, pomimo iż może nie posiada dyplomów panów i oficyalnie nie zajmuje się medycyną, jednakże posiada doświadczenie, którego żadne dyplomy nie zastąpią. Podałam więc ogłoszenie do dzienników i poczciwy pan Sebonnier, porzuciwszy wszystko, przybył na moje wezwanie.

Twarze sławnych lekarzy przeciągnęły się po tej przemowie, a po twarzy Gewolskiego przebiegł skurcz nerwowy, gdy spotkał się z pogodnym wzrokiem Piotra Sebonnier.

Po dość długiej chwili milczącego osłupienia odezwał się ironicznie doktór Dubreuil:

— A więc nic nam nie pozostaje, jak wysłuchać spostrzeżeń naszego nowego kolegi, choć mielibyśmy zupełne prawo, a szczególniej doktór Gewolski, do odrzucenia pomocy pana. Jednakże skoro miss Goldenspeech życzy sobie tego, ustępujemy przed jej życzeniem. Proszę, słuchamy pana!

— A więc panowie — rzekł Piotr Sebonnier, swobodnie zabierając miejsce przy stole — niema w tem nic nadzwyczajnego, że porównując się z wami, uważam się za człowieka mniejszej wartości naukowej. Zupełnie słusznie, bo ja bym tak samo na waszem miejscu uczynił, określiliście chorobę Lorda Cateley. Sądziliście, bo inaczej sądzić nie było można, że człowiek, który tak długo przebywał pod palącem niebem Afryki, w powietrzu przesyconem miazmatami febry, przechodzi teraz jeden z silniejszych paroksyzmów tej gorączki uporczywej. Zastosowaliście jedyny, zwalczający środek, chininę i nie otrzymaliście żadnych rezultatów, co was zapewne dziwić musi. Jednakże opowiadanie siostry lorda Cateley i służącego, murzyna, jak również moje własne spostrzeżenia, natychmiast rozświetliły mi tę zagadkę. A ponieważ i ja przebywałem dłuższy czas w Afryce...

Gewolski wstrząsnął się całem ciałem: wspólnik jego z lat dawnych za jego to wolą wysyłany był kolejno do Azyi i Ameryki, ale o podróży jego do Afryki, dotąd nic nie wiedział jeszcze!...

— Tak jest — mówił dalej Piotr Sebonnier, którego uwagi nie uszło wzruszenie Gewolskiego — dłuższy czas przebywałem w Kongo, posuwając się dość głęboko w centrum puszcz afrykańskich i gdziekolwiek znajdowały się bagniska i błota, spostrzegałem u murzynów symptomata, które odkryłem u lorda Cateley. Nie waham się więc twierdzić z całą stanowczością, że lord dotknięty jest chorobą, mało znaną w Europie i dość niebezpieczną, tak zwaną w Afryce „śmiertelną śpiączką“.

Wiadomość ta wzbudziła ogólne zdumienie lekarzy i rozproszyła wszelkie wątpliwości. Doktor Carot i doktor Dupont orzekli, że przypuszczenie o tej chorobie zrodziło było się już w ich umyśle, jednakże wobec zupełnej nieświadomości co do objawów tej choroby, zachowali milczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



W tej chwili powróciła miss Ewa, oświadczając, że nie zauważyła nic podejrzanego.



Jubileusz zasłużonego pedagoga: Dyrektor II. szkoły realnej w Krakowie, Jan Bidziński.

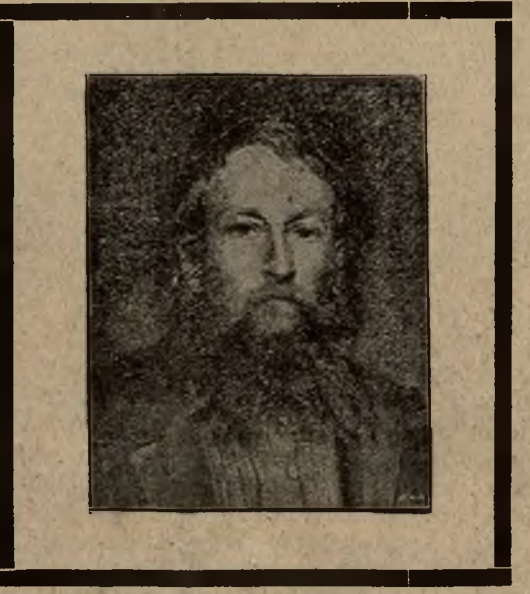


Jubileusz u wioślarzy warszawskich: Edmund Nebel, kierownik Koła gimnastycznego W. T. W.

Śmierć wielkiego artysty.

Dnia 6 b. m. w Grodzisku pod Warszawą zmarł malarz polski europejskiej sławy i miary, artysta znakomity, jeden z najtęższych i najoryginalniejszych u nas talentów, Józef Chełmoński. Nazwisko to oznacza cały wielki rozdział w historyi polskiej sztuki.

W Muzeum Narodowem w Krakowie znajduje się jego „czwórka", bodaj ten sam wielki obraz, o którym znakomity krytyk Witkiewicz powiedział, że z punktu widzenia bezmyślnego szkolarstwa ma on wielką wadę: „za wiele życia". Istotnie, talent bowiem Chełmońskiego to przedewszystkiem bujna pełnia życia i charakteru, rozmach niepowstrzymany, nieokiełznana, żywiołowa siła. W twórczości swej malarskiej, w całym szeregu obrazów niezwrównanego piękna, potrafił zamknąć Chełmoński całą żywą poezyę polskiej ziemi, od sielankowych nastrojów wiosny, bladoróżowych świtów i księżycowych nocy do rozpaczliwej dzikości wieczorów jesiennych, ponurych zmroków i burz, melancholię mazowieckich równin i rozlewną poezyę ukraińskiego stepu, rzewne sielenki chłopskie i pęd rozhukanych koni. On wreszcie jest tym artystą, który pierwszy wprowadził do malarstwa prawdziwego, nieszablonowego chłopa polskiego, żywego, w jego twardym trudzie, wielkiej niedoli, bezradnej grozie wobec sił natury i zjawisk społecznych, ale także o jego fantazyi niefrasobliwej i wesołej zabawie. Pejsażystą „tylko" był Chełmoński, ale w swych pejsażach wypowiedzał duszę artysty o bogatej skali wrażliwości i wyobraźni, a niezwykle indywidualnym wyrazie.



Śmierć wielkiego artysty: S. p. Józef Chełmoński.

Przez kilka ostatnich lat niezmordowanie twórczy artysta nie mógł już zajmować się sztuką z powodu słabości. — Zmarł w 65 roku życia. Urodzony we wsi Bożki w pow. łowickim, kształcił się w malarstwie w Warszawie i Monachium; prócz techniki, szkoły te niewiele mu dały, bo nie mieścił on się w ramach żadnej szkoły. Wystawiając na obczyźnie, uzyskał medale: w r. 1889 w Paryżu w r. 1891 w Berlinie. Najbardziej znanymi jego obrazami są: „Odpoczynek kozaków", „Jarmark na konie", „Wieczór", „Droga przez las", „Cisza nocna". Twórczość jego cała to przedewszystkiem wyraz mazurskiej, szczerze polskiej duszy i temperamentu.



Z ruchu przedświątecznego: Targ na Rynku krakowskim.

Kronika tygodniowa.

Skończył się więc czas wielkopostny, śledź schodzi już z porządku dziennego, ustępując miejsca sympatycznym „świńskim delikatesom“, których całe stosy piętrzą się na każdej masarskiej wystawie.

Widzimy tu całe Gewonty szynek, ozorów, rulad i innych smakołyków, oplecionych zwojami krakowskich kiełbas siekanych i krajanych... Na grupę Laokoona nie patrzy nikt z większym apetytem, jak na te wytwory naszego przemysłu, z których słynie Kraków daleko i szeroko.

Nic też dziwnego, że przed każdym sklepem rój ciekawych, którzy stoją w milczeniu, nabożnie się tylko oblizując, wewnątrz tłumy naszych gospodyń, zakupujących tutaj swe świętalne zapasy.

A chwila to ważna, od dobroci szynek, kiełbas i t. d. zależy powodzenie święconego, a jeśli kiedy, to właśnie w tym roku przez żołądek musi się zdobywać serca obywateli, bo wybory już są za pasem. Odświeżenie naszej Rady miejskiej zapowiedziane jest na koniec kwietnia i początek maja, czas świąteczny będzie więc najwygodniejszym do rozwinięcia intenzywnej agitacyi za przyszłymi ojcami miasta.

Kto posiada prawo głosu, może być pewnym, że każdy z kandydatów przyjmie go, niczem ś. p. Wierzynek z otwartemi rękami i ugości po staropolsku. Wypali też przy tej sposobności siarczystą mówkę, jak on to kocha stary nasz Kraków, co on już dla niego zrobił i co jeszcze zrobi, a zakończy zdrowiem kochanych braci wyborców, którzy, jako poważni obywatele nie dadzą się łudzić jakiemiś tam obietnicami gruszek na wierzbie, ale oddadzą głosy tylko mężom, znanym ze stałości swych zasad...

— Ja, panowie! — tak zakończy swoją przemowę gospodarz — prędzej dałbym się na sztuki porąbać, lub skórę swą pozwoliłbym na safian, kurdyban, albo nawet pergamin wyprawić, niźbym wyrzekł się swych przekonań, w imię których staję do walki, jak ów ś. p. Herkules, mający uciąć łeb hydrze, dławiącej od lat naszą autonomię!... Zdrowie mych kochanych wyborców!... Niech żyją!

A w duchu doda:

— Jak to wybornie się składa, że święta tuż przed wyborami! Święcone, tak, czy owak, musi człowiek wyprawić, oszczędzi się w każdym razie na kosztach agitacyi, a i to także na te ciężkie czasy coś znaczy... Zamiast obiecywać im złote góry, zamiast przysięgać, że od najbliższego kwartału zniżę im czynsze za mieszkanie, dam po kawałku kiełbasiska i po kieliszku wina, potem oni będą musieli się odwdzięczyć i oddadzą mi swe głosy!... Jeślibym zaś przepadł i tego roku, to, niech mnie szlag trafi, zrywam z dotychczasową polityką demokratyczną i zapisuję się w szeregi Stańczyków!...

Zabawa w czasie świątecznym zapowiada się więc wspaniale, kto tylko ma zdrowy żołądek może od niedzieli począwszy przez trzy dni z rzędu używać, jak pączek w maśle, jest to bowiem okres, w którym obżarstwo i pijaństwo nie jest wyjątkowo karygodnem, ale nawet pod pewnym względem i wskazanem.

W ten sposób święci tryumfy tradycya, która w czasie świątecznym każe otwierać drzwi na oścież i udawać serdeczność nawet wobec najcięższego wroga.

Pchaj w niego, co się zmieści, a w myśli dodawaj:

— Bodajeś się udławił!...

To się może nie stanie, w każdym razie, ze względu na niestrawność przetworów ciała wieprzowego, długo on może popamiętać twą staropolską gościnność.

Aczkolwiek sam do Rady miejskiej nie kandyduję, nakłopotałem się dość nad urządzeniem święconego, by godnie mógł przyjąć swych politycznych przyjaciół, w jaki zaś sposób potrafiłem przy chronicznym braku gotówki skompletować zapasy wojenne i zestawić bateryę, bez których się nie obejdzie żaden stół, o tem zamilczę. To już moja urzędowa, a raczej domowa tajemnica, a takich się nie publikuje.

Co najwyżej, mogę tylko tyle powiedzieć, że żyjemy obecnie pod znakiem kredytu... *Sapienti sat!*

Przynajmniej to dobre, że Święta Wielkanocne wypadają w pierwszej połowie miesiąca, kiedy człek rozporządza jeszcze jaką taką gotowizną, bo ostatecznie wszystkiego bez pieniędzy nie dostaniesz! Gorsza rzecz, że w myśl przepowiedni ojców naszych pogoda zapowiada się niezbyt piękna, żydowskie bowiem święta Paschy wypadają równocześnie z naszemi. Gotów się więc nie udać ani Emaus, ani Rękawka, którą zapewne już po raz ostatni urządzać będzie Podgórze w swym zarządzie.

Natomiast, o ile rzeczywiście deszcz będzie padał, każdy uczciwy obywatel odda się z tym większym zapałem zajęciom domowym, na czem znów najlepiej wyjdą fundusze państwowe, krajowe i miejskie, zasilane obfitymi dochodami z opłaty od mięsa i trunków wszelkiego rodzaju.

Apel mój do P. T. Czytelników, wzywający ich do zasilenia mej spiżarni i piwnicy, pozostał, niestety, jeno głosem wołającego na pustyni. Czarna niewdzięczność społeczeństwa bardzo boleśnie ugryzła me czułe serce i to z najsłabszej strony, pogodziłem się przecież z garbatym losem i powiedziałem sobie:

— Nie chcecie? Obejdę się bez was!

Aby się zaś zemścić, ale szlachetnie, zapraszam każdego z P. T. Czytelników do siebie na święcone, o dniu i miejscu którego doniosę jednak kiedyindziej! Nie chciałbym kandydatom do Rady miejskiej zabierać gości!

Zdaje mi się, że nie trzeba nikomu przypominać, iż obowiązkiem każdego szanującego się obywatela jest pamiętać w czasie świąt o swych znajomych i obejść ich, żadnego nie omijając, mógłby się bowiem śmiertelnie obrazić. Należy także odwiedzić naszych dostojników, zwłaszcza autonomicznych, o ile naturalnie „w sprawach urzędowych“ nie opuszczą na ten czas Krakowa.

Jak gdzie się zachowywać, tego chyba nikomu poddawać nie potrzebuję, sądzę jednak, że nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż u demokraty bądź demokratą, u konserwatysty stańczykiem, a wyjdziesz na tem dobrze, to jest o tyle dobrze, iż powiedzą o tobie, żeś jest dobrze wychowanym człowiekiem, a resztki gościnności będziesz musiał wypędzać przy pomocy sympatycznego olejku lub jakiejś gorzkiej wody.

Nasi archeologowie będą mieć bardzo wesołe święta, z okazyi restauracyi Wawelu mają znów sposobność do kłócenia się między sobą.

A powód, zwłaszcza wobec zbliżających się wyborów, jest bardzo ważny!

Chodzi o to, kto ongiś, w latach zamierzchłej przeszłości. zamieszkiwał w tak zwanej Smoczej Jamie, której odbitkę, jednakowoż bez smoka, bo ten już nie żyje, mieli P. T. Czytelnicy sposobność oglądać w poprzednim numerze.

Otóż, według zapewnień jednych, za czasów demokratycznego króla Krakusa, który pierwszy gród nasz rozszerzył, w onej jamie żył smok-stańczyk, nękający biednych demokratów. I kto wie, coby to było, gdyby nie znalazł się był dzielny a przemyślny mistrz kunsztu szewskiego, który tak mu dogodzić potrafił, iż smoczysko odtąd ze zmartwienia piło tylko wodę z Wisły i z tego powodu marnie zginęło.

Odtąd to sławetny cech szewski wzrósł w powagę zasłużoną, a ceny butów podskoczyły po raz pierwszy. I nie było kadencyi Rady miejskiej, by do niej który z braci cechowych mistrza Skuby nie należał.

Jak będzie teraz, nie wiadomo.

Drudzy, więcej konserwatywnie usposobieni, powiadają, że w lochu tym wiódł żywot pewien smokdemokrata, który srodze trapił całą okolicę, atoli przez mistrza Skubę podstępnie zostać w pole wywiedziony. Jak dziś, tak i wówczas, demokraci, więc i ów smok także, odznaczali się ogromnem łakomstwem, podrzucono więc koło jamy kawałek jakiegoś ścierwa, sprzedawanego w jatkach miejskich. Smok, nie przeczuwając nic złego, zjadł, ponieważ zaś coś go zaczęło palić „na wnątrzu“, niepomny na ogłoszenia fizykatu miejskiego, napił się zanieczyszczonej bakcylami wody wiślanej i ze zmartwienia skończył doczesny żywot na cholerę, czy tyfus.

O tem milczą kroniki, w każdym razie nie ujmuje to zasługi mistrzowi Skubie, któremu powinno się stanowczo wystawić pomnik w Krakowie, a przynajmniej zacząć bodaj zbierać nań składki, jak to u nas jest w modzie.

Nie brakuje także uczonych, którzy twierdzą, że w podziemiach Wawelu nie mieszkał nigdy żaden smok, (smoki bowiem wynalazł dopiero w XIX. w. pan radca Kosobucki), natomiast jeden z królów polskich, nie wiadomo tylko który, miał tutaj więzić swą teściową, gdy mu się zbyt dała we znaki. Uratował króla i Kraków od niej właśnie majster szewski, pan Skuba, który z nią się ożenił i z Krakowa wyjechał. Lata minęły, teściowa już w grobie, tradycya jednak, lekko wprawdzie spaczona, żyje.

Bardzo prawdopodobnem wydaje mi się tłumaczenie innej grupy uczonych, którzy utrzymują, że w tem właśnie miejscu, gdzie, jak mówią, przebywał smok, porywający dobytek ludzi, była dawniej kancelarya, a w niej urzędował za czasów polskich inspektor podatkowy i ściągał daniny na rzecz skarbu królewskiego.

Ponieważ, tak, jak i jego następcy, był nienasyconym, nazwano go smokiem i jamę jego stale omijano.

W jaki sposób kres jego życiu położył szewc Skuba, kroniki nie powiadają, prawdopodobnie jednak nie zrobił mu butów na kredyt, smok się zaziębił i umarł.

Na czas świętalny dla archeologów, konserwatorów i historyków temat znakomity do dyskusyi, sądzę, zainteresuje się nim i szersza Publiczność, a w szczególności członkowie Towarzystwa miłośników przeszłości Krakowa.

W ubiegłym tygodniu było w Krakowie bardzo jasno, tak jasno, że magistrat nosił się nawet z myślą pogaszenia przez siedm dni lamp elektrycznych i gazowych, aby w ten sposób poczynić pewne oszczędności.

Powodem owej jasności był zjazd światłodawców z całej Galicyi, tak wschodniej, jak i zachodniej. Przybyli nad Wisłę profesorowie szkół średnich, by tu odświeżyć swe wiadomości z zakresu matematyki, fizyki i historyi naturalnej, a przy tej sposobności i rozweselić swego ducha, każdy bowiem żonę swą pozostawił w domu, zajętą przygotowaniami świętalnemi, tarciem maku, obieraniem rodzynków i innemi słodkiemi czynnościami.

W tym samym czasie dowiedzieliśmy się także, że Uniwersytet Jagielloński wysłał memoryał do Rady szkolnej krajowej, w którym narzeka na niedostateczne wykształcenie, jakie otrzymują abituryenci szkół średnich, a powód upatruje w wadliwym programie nauk gimnazyalnych i wzywa do usunięcia złego.

Wyłazi więc szydło z worka. Rada Szkolna zbiera owoce swych rozporządzeń, w których ongiś polecała, by naukę w szkołach średnich prowadzić w ten sposób, aby uczniowie w domu uczyć się nie potrzebowali.

Następstwem będzie nowy okólnik, polecający Dyrekcyom, aby zwiększyły wymagania i w ten sposób zmusiły uczniów do większej pilności i uczenia się w domu.

I tak pójdzie dalej, jak zwykle „w koło Macieju“. Jeden okólnik znosi drugi, za nim goni trzeci, w drodze jest czwarty, potem piąty i tak dalej, a każdy innej treści. Na tem najgorzej wychodzą uczniowie i sama nauka, nikt bowiem nie wie właściwie, które rozporządzenie ma moc obowiązującą.

Głosy publiczne.

C. k. Dyrekcya kolei państwowych w Krakowie donosi: **„Pociąg pospieszny z Zakopanego do Krakowa“.** Celem udogodnienia powrotu ze Świąt Wielkanocnych z Zakopanego, kursować będzie w poniedziałek dnia 13 kwietnia b. r. z Zakopanego pociąg pospieszny, ogłoszony w rozkładach jazdy pod numerami 6101, 1201, 1101, 1001, 102.

Odjazd z Zakopanego o godzinie 4 po południu, przyjazd do Krakowa o godzinie 8·23 wieczór.

Z ruchu przedświątecznego.

Ostatnie dni Wielkiego Postu — to okres went i jarmarków publicznych, walnych porządków domowych, przygotowań i zakupów. Tradycya narodowa każe powtarzać corocznie ten czas gorączki przedświątecznej, najbardziej popularnej u naszych pań i gospodyń — bo to zbliża się czas ich popisów kulinarnych i gospodarskich; „brzydsza“ część rodu ludzkiego będzie się popisywać później i to w kierunku maximalnej pojemności, nieprzemakalności, no i strawności. Obecnie jednak żyjemy pod znakiem sympatycznego rozgardyaszu domowego, i najsilniejszej wydajności portfeli i portmonetek ojców rodzin — niech im za to mazurki i serowce lekkie będą na sercu i... w żołądku, przygotowanym należycie ścisłym postem. Dla zobrazowania ruchu przedświątecznego podajemy ciekawe zdjęcia z Rynku krakowskiego.



Z ruchu przedświątecznego: Jarmark wielkanocny w Dolinie Szwajcarskiej w Warszawie.



Tragiczny pojedynek: Pogrzeb ofiary pojedynku ś. p. Karpińskiego w Leoben.

Tragiczny pojedynek.

W Leoben wydarzył się niedawno tragiczny zaiste wypadek. Pomiędzy dwoma słuchaczami tamtejszej akademii górniczej wynikło nieporozumienie, którego następstwem był pojedynek. W pojedynku tym w miejscowości Bruck nad rzeką Murem, rażony kulą w głowę, padł jeden z przeciwników, Karpiński. Drugi przeciwnik, prawie mimowolny zabójca, Wicherkiewicz, został aresztowany, jak również obaj sekundanci, jeden Ostrowski, na drugi dzień, drugi Swejda, w kilka dni później. Cała sprawa zrobiła wielkie wrażenie zarówno w kolonii polskiej w Loeben, jak w kraju, a także wśród Niemców.

Pogrzeb ofiary pojedynku odbył się w Leoben z nadzwyczajną uroczystością. Oprócz członków rodziny zmarłego wzięli w nim udział wszyscy profesorowie akademii górniczej w Leoben, członkowie rady miasta z burmistrzem na czele, studenci wszystkich narodowości, deputacye stowarzyszeń studenckich z poza Leoben i bardzo liczna publiczność.

Jubileusz zasłużonego pedagoga.

Zawód pedagoga w naszych czasach staje się coraz cięższym, coraz też mniej ludzi, którzyby mu się z zamiłowaniem poświęcali. Stara maksyma: *quem dii oderunt, paedagogam fecerunt* sprawdza się na każdym kroku. A przecież powołanie to bardzo szczytne, w rękach kierowników młodzieży spoczywa przyszłość naszego społeczeństwa.

Materyalnie nauczycielstwo stale jest krzywdzone, jedyną nagrodą za trudy i poświęcenia to uznanie moralne, jakie staje się niekiedy — ale nie zawsze — ich udziałem.

Piękny wzór do naśladowania dla młodego pokolenia nauczycielskiego, to ta stara gwardya, która powoli schodzi z posterunków z tem przeświadczeniem, że godnie spełniła swą powinność i zasłużyła



Jubileusz u wioślarzy warszawskich: Członkowie Koła gimnastycznego W. T. W.



Drużyny: „Cracovii“ i klubu bielskiego.





Ze sportu nożnego w Krakowie:
Drużyna krakowskiej „Wisły“. Drużyna „Czarnych“ ze Lwowa.

sobie na wdzięczną pamięć i z dumą spogląda na szereg lat, spędzonych wśród murów szkolnych przy pracy nad kształceniem przyszłych obywateli kraju.

Jednym z jej szeregów, który w zawodzie nauczycielskim zdobył sobie rycerskie ostrogi, jest obecny dyrektor II. szkoły realnej w Krakowie, Jan Bidziński.

Urodzony w Zawadzie w r. 1853, po ukończeniu gimnazyum św. Jacka w Krakowie, a następnie Instytutu technicznego, zapisał się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie poświęcił się naukom z zakresu matematyki.

Po złożeniu egzaminu profesorskiego objął obowiązki praktykanta w gimnazyum św. Anny w Krakowie, skąd w r. 1884 przeniesiony do krakowskiej szkoły realnej, przeszedł tu wszystkie stopnie hierarchii nauczycielskiej. W r. 1898 zamianowany kierownikiem filii, z chwilą przekształcenia jej na zakład samodzielny został w r. 1903 jej dyrektorem i na tem stanowisku do dnia dzisiejszego pozostaje.

Trzydziestolecie pracy zawodowej zasłużonego pedagoga obchodziło w dniu 4 kwietnia b. r. grono nauczycielskie i uczniowie szkoły w sposób bardzo uroczysty. Sędziwy Jubilat, cieszący się ogólną sympatyą, był przedmiotem serdecznych owacyj ze strony grona, uczniów byłych i obecnych, dziękował też ze łzami w oczach za wyrazy uznania i zapewnił, że i nadal poświęci swe siły dla dobra ukochanej młodzieży.

Jubileusz u wioślarzy warszawskich.

Wioślarze warszawscy obchodzili w tych dniach jubileusz swego koła gimnastycznego oraz naczelnika tegoż p. Edmunda Nèbla. Z racyi tej urządzono w siedzibie wioślarzy popisy członków Koła i uroczysty akt obchodu, w czasie którego p. Nèblowi ofiarowano w dowód uznania za 10-letnią pracę w Kole piękną urnę bronzową i flagę, dar od członków Koła dla Towarzystwa, która przy odpowiednim adresie odczytanym przez Starostę Koła E. Góreckiego wręczono Komitetowi; tenże zaś wręczył wszystkim ćwiczącym, oraz członkom żetony pamiątkowe.

Nasze illustracye przedstawiają: grono uczestników obchodu jubileuszowego i naczelnika-jubilata p. Nèbla.

Ze sportu nożnego w Krakowie.

Wiosna, zaczęta w kalendarzu i w naturze, zaczęła się także i dla naszych sympatycznych kopaczy piłki. Wszystkie drużyny footballowe krakowskie rozpoczęły już sezon piłki nożnej. Rozegrano turniej siódemkowy krakowski, a wreszcie rozpoczęły się zawody publiczne z pozakrakowskiemi drużynami. W tej dziedzinie mamy też do zanotowania ważny sportowo fakt otwarcia własnego nowego boiska w „Oleandrach“, parku po wystawie architektury, przez sympatyczną „Wisłę“. Na boisku tem w ubiegłą niedzielę rozegrała też ona piękny match z dzielną drużyną „Czarnych“ ze Lwowa, celującego klubu footballowego lwowskiego. Obie drużyny wykazały grę energiczną i pierwszoklasową, wynik przyniósł zwycięstwo „Wiśle“ 3 : 2.

Na swojem zaś zwykłem boisku grała „Cracovia“ z drużyną klubu bielskiego, tryumfując nad nią w stosunku 5 : 0.

Nasze zdjęcia przedstawiają: drużynę „Czarnych“ ze Lwowa, krakowską „Wisłę“, oraz „Cracovię“ razem z bielską drużyną.

Wielka katastrofa samochodowa w Warszawie.

Niedawno. z powodu katastrofy samochodowej w Warszawie, pisaliśmy o nowoczesnych hekatombach, jakie sprawia ten pożyteczny a tak niebezpieczny środek komunikacyi. Nie przeczuwaliśmy,



Z ruchu przedświątecznego: Targ na Rynku krakowskim.

że w kilka dni później zaledwie, znowu w Warszawie, podobna katastrofa, lecz w skutkach jeszcze okropniejsza, potwierdzi prawdę słów naszych.

Katastrofa to tem boleśniejsza, że ofiarami jej padło kilku artystów, mianowicie znaczna część personalu teatru Nowoczesnego. Grono tego personalu, składające się ze śpiewaczki p. Rinas-Liederówny, śpiewaka p. Waltera, kapelmistrza-kompozytora p. Rogowskiego, sekretarza dyrekcyi p. Zawiszy oraz p. Jerzego Guranowskiego, znanego poety i literata w nocy dn. 2 b. m. urządziło wycieczkę za miasto samochodem. Przejechano wjadukt i trzeci most, gdy nagle niedaleko za mostem, pędzący z dużą szybkością samochód wpadł niespodzianie na nieo-



Straszna katastrofa samochodowa w Warszawie: Ofiary katastrofy: 1) Helena Rinas-Liederówna, 2) Jerzy Guranowski, 3) Ludomir Rogowski, 4) Wł. Walter.

znaczoną żadnym świetlnym sygnałem stertę kamieni. Skutki uderzenia były fatalne. Wszyscy pasażerowie zostali wyrzuceni na bruk, ciężko ranni. Najbardziej ucierpiała p. Lieder, której pękła kość potyliczna czaszki. P. Walter połamał sobie obie ręce, p. Guranowski lewe przedramię i uległ wstrząsowi mózgu, p. Zawisza potłukł się na całem ciele i odniósł dwie rany na głowie. Najszczęśliwiej wyszedł p. Rogowski, który tylko ogólnie się potłukł i woźniczy samochodu, który również tylko lekki szwank poniósł.



Pochwyceni bandyci: Rewirowy Stan. Lipczyński, ciężko zraniony podczas pościgu za bandytami w Warszawie.



Akademia szermiercza: Uczestnicy turnieju szermierczego o mistrzostwo Galicyi, odbytego w Krakowie.

Akademia szermiercza.

Niezwykle żywotny krakowski klub szermierzy urządził w ubiegłym tygodniu turniej szermierczy o mistrzostwo Galicyi. W turnieju wzięli udział delegaci: krakowskiego klubu szermierzy, krak. oficerskiego klubu szerm; lwowskiego klubu szerm; i oddziału szerm. „Sokoła“ macierzy we Lwowie. Mistrzostwo Galicyi we florecie wśród dziewięciu konkurentów zdobył porucznik Ernest Kopp. II. miejsce p. Hrebenda, trzecie kapitan Tarabanowicz; mistrzostwo w pałaszu zdobył wśród dwudziestu dwóch konkurentów dr. Karol Pappeé, drugie miejsce p. Ader, trzecie miejsce dr. Poźniak.

Zakończeniem turnieju była urządzona w sali Starego Teatru uroczysta akademia, która wykazała wysoki rozwój szlachetnego sportu szermierczego w naszym kraju.

Nasze illustracye przedstawiają uczestników turnieju i akademii.

Pochwyceni bandyci.

W ostatnich dniach z. m. dokonali znów bandyci warszawscy śmiałego napadu na kasyera garbarni br. Pfeifer i Temler przy ul. Smoczej. W chwili, gdy kasyer p. I. Maraszkiewicz przybył do fabryki wioząc na wypłatę 6.550 rubli, zastąpili mu drogę uzbrojeni bandyci i przerażonemu wyrwali z rąk worki z pieniędzmi, poczem rzucili się do ucieczki. Na wszczęty jednak natychmiast przez p. M. alarm zorganizowano pościg, który tym razem doprowadził nietylko do schwytania bandytów, ale również do odebrania w całości zrabowanej gotówki. Zauważywszy pogoń, przyłączył się do niej stojący tam rewirowy Stanisław Lipczyński i dogonił ich w samochodzie. Bandyci ostrzeliwali się gęsto i jedna z kul zraniła ciężko rewirowego L.

Nasze illustracye podają podobizny: zranionego rewirowego Lipczyńskiego i wszystkich schwytanych bandytów.









Pochwyceni bandyci:

Jan Kwiatkowski. Stanisław Busowski. Bolesław Księżopolski. Jan Rebaju.

W sprawie Wielkiej Szarady konkursowej.

Z powodu nawału materyału aktualnego z ostatniej chwili, dalszy ciąg nazwisk P. T. Prenumeratorów, którzy nadesłali dobre rozwiązania Wielkiej Szarady konkursowej, odkładamy do numeru poświątecznego.

Głosy publiczne.

Program teatru świetlnego „Uciecha“. rozpoczęty wczoraj, przynosi kilka zajmujących obrazów, a odznacza się doborową rozmaitością. O'dobą programu jest śliczna komedya paryska w 2 aktach: „Leon i złote rybki“, puściła ją w świat znana francuska fabryka firmy Gaumont i nadała ową niezrównaną lekkość i finezyę, jaką odznaczają się zawsze komedyowe francuskie obrazy, szczególniej Gaumontowskie, cieszące się tak wielkiem i zasłużonem powodzeniem w Krakowie, a będące monopolem teatru „Uciecha“.

Obecnie idzie druga część „Podróży i polowań ks. Montpensier w Indochinach“. Pierwsza część podobała się bardzo. Teraz wystawiana dalsza część podróży przedstawia już widoki z egzotycznej głębi kraju: między nimi wioski tubylców, polowanie na bawoły i t. d. Niemniej też i dramat jest pierwszorzędny, mianowicie „Kobieta z ludu“ według słynnego dzieła znanych autorów Dannery i Maillan. Jest to ob az firmy Pathé Frères z wielkiej seryi autorskiej, o zajmującej treści i pięknych zdjęciach. W program wchodzą jeszcze obrazy z natury: „Ruch tramwajowy w Nowym Yorku i Wiedniu“. „Ratowanie rozbitków“, „Szczurołapy we Francyi“, najnowszy przegląd tygodniowy.

Miejski Urząd Zdrowia donosi: Ambulatoryum dentystyczne miejskie będzie zamknięte z powodu feryi świątecznych od dnia 9 do 14 b. m. włącznie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Łamigłówka: Prosimy odnowić prenumeratę.

Zagadka mitologiczna:

W e n u s
P e n a t **y**
P e r s e f o n a
D e m e t e **r**
A t e n **a**
L e **w**
A m o r
P a r k i
E r a t **o**
Z e u s
B u c e f a **ł**
O l i m p
H i p o l i t
E l e u s i s
I k a **r**
U r a n i a
J a z o n
O r f e u s z

Przysłowiówka: Mądrej głowie dość na słowie. Każdy dudek ma swój czubek.

Szarada: Marynarka.

Przysłowiówka: Rozmaitość bawi. Raz kozie śmierć.

Równanie:
Wilhelm + **Okoń** + **Ska**wina = **Wilkońska.**
Skawa + K**ilński** + **ce**sarstwo = **Skalińce.**

Rebus: Miłość bez grosza, a spacer w ulewę, długo nie potrwają.

Trójkąt magiczny:

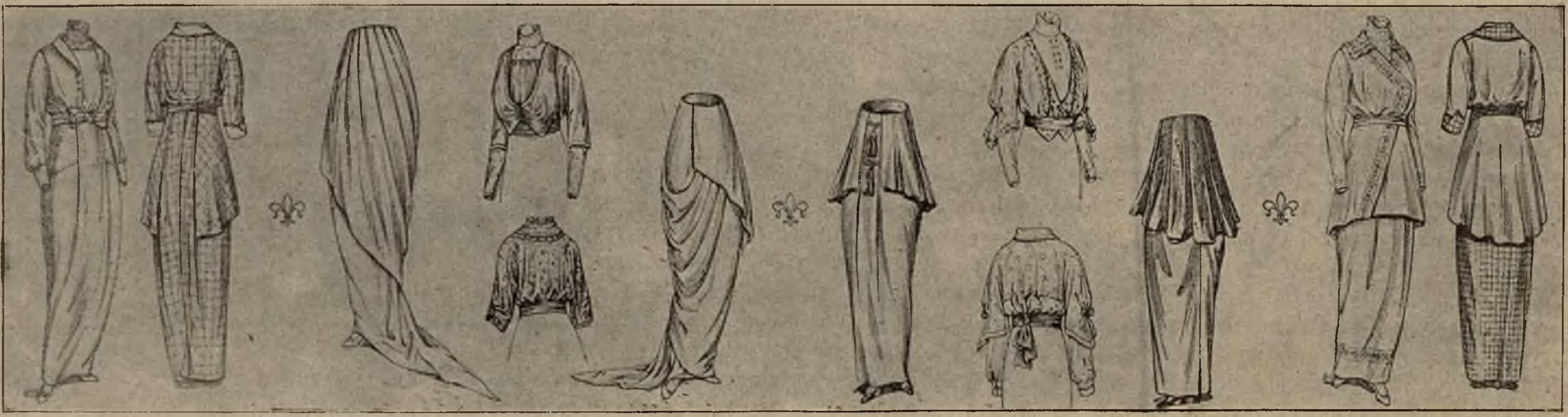
K o n i e c p o l s k i
O t i a r o w a n i e
N i d e r l a n d y
I n w e n t a r z
E p i d e m i a
C y n g i e l
P a r a d a
O r e s t
L a t o
S ó l
K u
I

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, J. Antosz Kołomyja, S. Krzyżanowski Kraków, T. Szumski Ryga, J. Rosenbaum Rozwadów, D. Dorożyński Odessa, J. Krawecki Przemyśl, F. Blatterfeind Lwów, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Kozicki Stanisławów, J. Czarkowski Uhnów, L. Lang Kraków, H. Scholz Rozdół, K. Armatys Lwów, J. Nowacki Lwów, H. Chmurowicz Częstochowa, J. Orzechowski Kalisz, D. Engelberg Rzeszów, J. Lisowski Krosno, H. Topolnicki Kamieniec, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Kolbuszowa, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, W. Świrski Piotrków, D. Sedyńska Krakow, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, K. Misińska Złoczów, J. Śliwiński Brzostek, D. Ligęza Tarnów, W. Kalinowska Kalisz, S. Rogaliński Warszawa, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, H. Górska Lwów, K. Stefański Lwów, M. Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, D. Łopatyński Kraków, S. Jasiński Rzeszów, H. Maciejowska Winnica, T. Mazaraki Radom, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S Wiewiórowski Warszawa, S. Lipski Wiedeń, H. Czyżewska Warszawa, F. Knopf Jarosław, A. Balicki Stanisławów, H. Wysoczański Petersburg, J. Solecki Kraków, M. Wyka Rzeszów, R. Madejski Lwów, M. Rychlik Jasło, S. Sokołowski Kraków, Z. Dębiński Lwów, K. Stojanowski Stanisławów, M. Sikorska Stanisławów, R. Bukowski Kijów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S. Karwowski Berlin, H. Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, J. Stanisławski Czerniowce, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Gebhardt Kraków, K Galiński Sambor, J Cisowski Warszawa, J. Sadowski Kraków, S. Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, A. Dużak Kraków, R. Radomski Czerniowce, H. Górska Lwów, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Zachara Krosno, K. Król Kołomyja, J. Walter Podwołoczyska, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Galiński Sandomierz, J. Lchański Warszawa, K. Janik Drohobycz, M. Link Lwów, R. Czapuczyński Kijów, C. Wang Tarnobrzeg, E. Niestenberger Lwów, J. Wilczkiewicz Lwów, K. Sawliński Jasło.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Radomski, Czerniowce.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

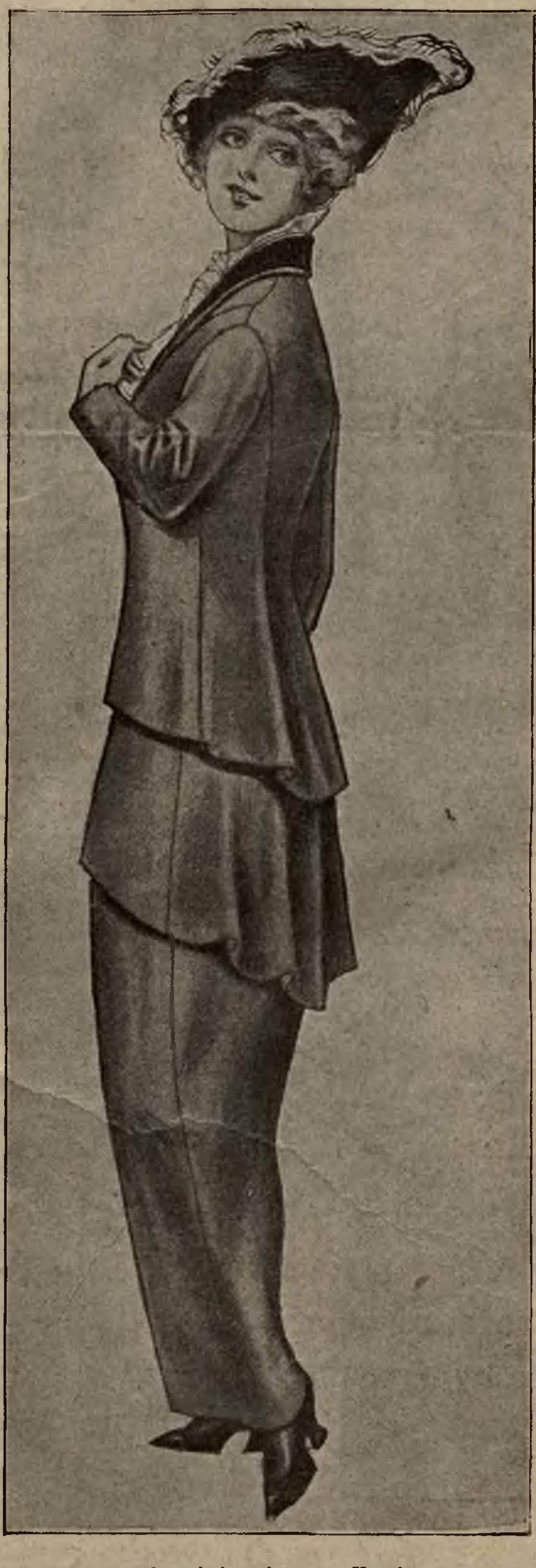
Ze świata kobiecego.

Kobieta elegancka, obdarzona wykwintnym smakiem i poczuciem piękna, może wreszcie odetchnąć swobodnie i ze spokojem kombinować toalety na najbliższy sezon i przyszły wyjazd letni, wobec bowiem tego, co nam przynoszą najświeższe żurnale, może ubrać się modnie i pięknie zarazem, szykownie i estetycznie. Może spodziewać się, iż aby nie być ubraną „z tamtego sezonu", lub „dziwacznie" nie potrzebuje rozciąć spodnicy niemal do kolana, namarszczyć materyał w każdem z tych miejsc, w których natura zwęża kobietę, przystroić kapelusz nakształt śmig wiatraka lub olbrzymiego żagla przy maleńkiej łódeczcze. Nie, z temi wszystkiemi potwornościami koniec! koniec na długie lata, może na zawsze. Figlarka moda chciała przekonać się jak daleko sięga jej władza, czy może ją mieć nad rozumem, zdrowym sensem i dobrym smakiem kobiet. Przekonała się, że zaledwie mała garstka jej się oparła i wraca powoli do tego, co powinno być jej zasadą i wytyczną — do wzmacniania piękna kobiety, do podkreślania harmonijności jej kształtów, a nie sznurowania wypukłości i tworzenia sztucznych garbów, gdzie się da, a raczej gdzie się nie daje. Zresztą zastrzedz się muszę, że większość kobiet polskich, to jest te wszystkie, które, nie mając na kupowanie modeli paryskich, ubierają się według paryskich żurnali, nabywanych w sklepach i kioskach naszych, nie wie, że czerpie mody z jak najgorszego źródła. Mieszkanki Paryża wiedzą dobrze, że jeżeli chcą być ubrane wykwintnie i oryginalnie, nie mogą obstalowywać sukien według wzorów z tygodników po 10 centimów numer, ani z sezonowych albumów, zawierających kilkadziesiąt lub kilkaset wzorów za 1 franka; wiedzą one, że nie wystarczy na to skopiować okazy wystawione w oknach choćby najdroższych magazynów. Najdrożsi bowiem krawcy paryscy, ci, u których suknia kosztuje od 300 do 3000 franków, zazdrośni są o swe modele jak przyrodnik, czy mechanik o wynalazek swój, który ma dopiero opatentować. To też Paryżanka, chcąca być ubraną niedrogo a pięknie, podpatruje i imituje jedynie żywe modele w teatrach, na rautach, w orszakach ślubnych, na wyścigach, lub wysiadające z powozów i samochodów. I umie ona doskonale odróżnić świat od półświatka i w miarę tego do którego z nich czuje pociąg, wzoruje swe stroje.



Suknia domowa. Suknia obiadowa ze stanikiem i bluzką. Suknie spacerowe. Kostyumy białe z czarnem.

Kobiety zaś mieszkające zdala od stolicy mody chwytają pierwszy lepszy żurnal i wskazują magazynierce najczęściej wzór najoryginalniejszy, najmniej podobny do tego, co nosiło się dotychczas. I nie wie, że te pisma, nie mogące opłacać artystów-rysowników, wykombinowują i wykoszlawiają modę prawdziwą, bo dokładnie imitować modela im niewolno. Temu to trzeba przypisać, że przez cały ubiegły sezon większość poczciwych naszych mieszczanek i obywatelek, większość zacnych żon i matek, ubierała się jak kobiety najgorszego gatunku. Mróz szedł po kościach, gdy widziało się przy kilkunastu stopniach zimna z pod króciutkiego kostiumu nogi obute w płytki półbucik i pajęczą, ażurową pończoszkę. Rumieniec twarz oblewał, gdy widziało się poetyczne dziewice, którym marszczona materya sukni podnosiła do monstrualności cenny przybytek macierzyństwa. Smiech porywał, patrząc na przystrojenia kapeluszy i głów na balach, którémi Patagończyk nawet by się poszczycił. Na szczęście śmieszność nie jest nigdy żywotną — nie zrodzi nic — i sama prędko wśród szykan i sykań zamiera. Bo choć i w tym sezonie nie zabraknie kobiet, które ubierać się będą ekscentrycznie, większość pójdzie za tą garstką z najwyższych sfer, która już dziś daje wzór i za drogiemi pismami, pożyczonemi ukradkiem przez krawcowe na dnie szyjące u najbogatszych pań. Cóż niosą te wykwintne pisma?... Przedewszystkiem harmonię szaty z ciałem kobiety. Nie brak sukien drapowanych, lecz te rozszerzają kształt jej lekko na biodrach jedynie. Falbany i falbanki, rozszerzające poniżej kolan, lub wzięte na drut, tworzące pół-krynoliny, nie są noszone przez świat prawdziwie elegancki.



Kostyum z sukna koloru hawana. Kapelusz z czarnej tangali otoczony piórami żółtemi w tonie tango.

Kostiumy spacerowe, tak zwane *tailleur*, składają się ze spódnicy o kształcie amforowym i żakiecika bardzo urozmaiconego krojem — bywa prosty z przodu i z tyłu, lekko opinający figurę, lub szerszy w plecach i spięty patką; z długą, lub krótką baskiną, odciętą powyżej pasa szwem krawieckim, lub paskiem, a nawet, sposobem z przed kilku lat, lekko wcięty w stanie i falujący w baskinie. Często bywa otwarty, co daje sposobność urozmaicać kostium odmienną kamizelką. Kostiumy strojne, wizytowe, robią się ze spódnicami dłuższemi i upiętemi na biodrach.

Suknie domowe zachowują swój prześliczny kształt *empire* i *directoire*, najwdzięczniejszy dla każdej młodej czy starszej kobiety. Suknie strojne, wizytowe nie tyle są urozmaicone kształtem, ile gatunkiem tkaniny i harmonią barw. Rzeczywiście sztuka tkacka i farbiarska dochodzi chyba do punktu kulminacyjnego i nic piękniejszego nie wymyśli już nad to, co widuje się obecnie wśród jedwabi. Wystarczy wziąć do ręki pęk próbek, aby mieć złudzenie, że chyba jakaś potężna wróżka utkała na czarodziejskiem wrzecionie przemienione w przędzę kwiaty, kolibrze pióra i wszystkie klejnoty Wschodu. Ale, że są to wyroby niezmiernie drogie, używa ich się dyskretnie: przy tej sukni wyłogi, przy tamtej pasek, przy innej kamizeleczka. I szczęściem ta drożyzna, inaczej bowiem większość kobiet wyglądałaby jak potworne kolibry lub papugi.

A co zanadto — to niezdrowo. Zresztą i w tem kwestya dobrego smaku.

We wszystkich magazynach Berlina i Wrocławia widziałam przed paru tygodniami kostyumy wyłącznie: zielone-trawiaste, pomarańczowe, fijołkowe i amarantowe, a tymczasem wykwintna moda paryska wskazuje jako modne na kostyumy kolory: biały, piaskowy, musztardowy, granatowy, czarny, lub w kratę białą z czarnem.

Z kostyumami letnimi przybędzie jeszcze kolor niebieski z odcieniem szarym i różowy-poziomkowy. O „tango" fijoletach, amarantach nie ma mowy.

Ha, macie panie wóz i przewóz — Paryż czy Berlin z Wrocławiem, Katowicami etcetera!...

Furlana

DWUNASTY.

(LEGENDA KROACKA).

Początkowo Chrystus miał tylko jedenastu uczniów; przychodzili Doń liczni kandydaci — młodzieńcy i starsi, rycerze i panowie — prosząc Go, aby przyjął ich na dwunastego ucznia. Chrystus jednak odmawiał wszystkim i mówił do swych uczniów:

— Dwunasty mój uczeń nie przyjdzie w dzień, lecz w noc ciemną i zakradnie się jak wilk, aby Nauczyciela waszego sprzedać wrogom.

Razu pewnego szedł Chrystus wraz z uczniami swymi przez step, gdy zaskoczyła ich noc, wobec czego musiano zatrzymać się na miejscu, aby przenocować.

Wieczór był chłodny, przeto uczniowie nazbierali suchych gałęzi i rozpalili ognisko, a następnie położyli się spać.

Tylko jeden Chrystus nie udał się na spoczynek, lecz siedział w zamyśleniu, podtrzymując ognisko.

I nagle wśród ciszy nocnej usłyszał kroki ludzkie, a po chwili zjawił się przed nim mężczyzna.

— Czy przyszedłeś tu sam, czy też przysłano cię do mnie, Judaszu — zapytał Chrystus.

— Mistrzu, skąd wiesz, że imię me Judasz — spytał ze zdumieniem przybyły.

— Nie widziałem cię, a już znałem Twe imię — odrzekł Chrystus. — Wiem również, że ty właśnie wydasz mnie wrogom moim.

Lecz przybyły począł się zaklinać, że nie po to przybył, aby sprzedać Chrystusa, lecz aby słuchać jego nauki boskiej.

— Nie wiesz o tem, Judaszu, co drzemie na dnie twej duszy. Wkrótce sam przekonasz się o tem, a wówczas zdradzisz mnie.

Kiedy po pewnym czasie zbudzili się ze snu uczniowie, Chrystus rzekł do nich:

— Oto przybył dwunasty mój uczeń. Imię jego Judasz.

Judasz zbliżył się do ognia, ogrzał się przy nim i początkowo zamierzał odejść, lecz po namyśle pozostał.

I od tej nocy nie opuszczał zupełnie Chrystusa, dziwiąc się wielce, iż Chrystus mocą jednego swego słowa leczy chorych i wskrzesza zmarłych.

Dnia pewnego rzekł do Chrystusa:

— Mistrzu, naucz mnie tworzyć cuda.

Spojrzał nań Chrystus, a twarz Jego osnuła mgła smutku.

— Czas twój, Judaszu, jeszcze nie nadszedł — odrzekł Chrystus. — A gdy nadejdzie, uczynisz to, co ci jest przeznaczone.

— A co mianowicie uczynię?

Lecz Chrystus nie odpowiedział mu, tylko bardziej jeszcze posmutniał.

Pozostali uczniowie przypomnieli sobie wówczas to, co mówił im Chrystus o dwunastym uczniu, który zakradnie się w noc ciemną, niby wilk, i stanie się zdrajcą.

I odsunęli się od Judasza. Judasz pozostał samotny, milczący i zamyślony, a dusza jego była posępna i czarna, podobna do bezgwiezdnej nocy jesiennej.

Po niejakim czasie udał się Chrystus z apostołami do Jerozolimy i gdy znajdował się już w pobliżu tego miasta, siadł na pagórku, aby odpocząć.

I otoczyli Go zwartem kołem uczniowie Jego, Judasz zaś stał na uboczu.

Chrystus począł im mówić, że oto zbliża się czas, kiedy wydany będzie w ręce wrogów, a wtedy wszyscy uczniowie, jak jeden mąż, zwrócili głowy ku Judaszowi.

— To z pewnością o mnie tak mówi Mistrz — pomyślał Judasz, a duszę jego ogarnęła nienawiść i więcej już nie rozmawiał ani z Chrystusem, ani z uczniami.

W Jerozolimie naród powitał Chrystusa radośnie, faryzeusze zaś na naradzie swej mówili:

— Cóż to wszystko znaczy? Ludność wita Chrystusa, jak króla, nas zaś lekceważy zupełnie.

I postanowili zabić Chrystusa, nie wiedzieli jednak, jak tó uczynić, aby nie wywołać wśród ludności wrzenia.

Późnym wieczorem zapukał do nich Judasz, a gdy go wpuszczono, rzekł:

— Nienawidzę mego Mistrza, ponieważ czyta on w mej duszy, niby w otwartej księdze: zaledwie spojrzy na mnie, wnet wie, o czem myślę.

Wówczas starszy z faryzeuszów rzekł:

— Skoro tak wielką jest nienawiść twoja, wydaj Go nam. Otoczymy cię zaszczytami i staniesz się piewszą osobą wśród nas. I będziesz sławniejszy, niż Twój Mistrz, a lud kłaniać ci się pocznie.

Z temi słowy podał Judaszowi woreczek, a Judasz, którego obietnice faryzeusza skusiły, ukrył pieniądze w zanadrzu. Następnie w towarzystwie żołdaków udał się do ogrodu, gdzie podówczas modlił się Chrystus i wydał Go.

Rozpięto Chrystusa na krzyżu i umęczono Go, a następnego dnia zgłosił się do faryzeuszów Judasz, oni zaś zapytali go:

— Po co przychodzisz do nas, zdrajco?

— Jakto, po co — brzmiała odpowiedź — czyż zapomnieliście o obietnicach.

— Otrzymałeś już, co ci się należy — odrzekli — więc teraz odejdź od nas, przeklęty.

— Wy sami jesteście przeklęci i fałszywi — wrzasnął Judasz i rzuciwszy w nich woreczek z pieniędzmi, wyszedł na ulicę.

Zasmucony z pochyloną głową, podążał przed siebie, rozmyślając, iż niepotrzebnie sprzedał Chrystusa.

Ujrzały Judasza bawiące się na ulicy dzieci i wnet poczęły wołać:

— Oto idzie zdrajca, Judasz.

Przechodnie, słysząc to, poczęli usuwać się z obrzydzeniem, wołając za nim również:

— Zdrajca! Zdrajca!...

Pod ciężarem tych oskarżeń głowa Judasza pochyliła się jeszcze niżej i szedł coraz śpieszniej, pragnąc jaknajprędzej opuścić miasto.

Dokuczało mu straszliwe pragnienie, więc ujrzawszy kobietę z dzbankiem wody na głowie, prosił ją, aby mu pozwoliła napić się:

— Nie dam ci wody — odpowiedziała kobieta. — Czyż nie widzisz, jak wielką pogardą otacza cię lud? Gdybym prośbie twej uczyniła zadość, powiedzianoby, iż jestem twą wspólniczką, a przytem skalasz mi naczynie.

Jęknął Judasz i popędził dalej. Na krańcu miasta zatrzymał się znużony i spocony; spostrzegłszy dom jawnogrzesznicy, wszedł do wnętrza.

Spojrzała nań jawnogrzesznica i ze łzami w oczach rzekła:

— Jestem wielką grzesznicą, ponieważ ciałem handluję, ale ty jesteś większym grzesznikiem odemnie, boś Mistrza zaprzedał.

— Słyszałem o tem — odparł Judasz. — Daj mi się napić wody, umieram z pragnienia.

— Oto tam w kącie stoi woda — rzekła jawnogrzesznica, wskazując na garnczek.

Przypadł Judasz do naczynia i pił chciwie; gdy powstał wreszcie i podniósł się z ziemi, jawnogrzesznica kopnęła nogą naczynie, rozbijając je.

— Czemuś to uczyniła? — zapytał Judasz.

— Ponieważ znieważyłeś naczynie.

Pochylił głowę Judasz i przez czas dłuższy trwał w milczeniu, aż wreszcie wyszedł.

Udał się za miasto i niezadługo znalazł się w pustyni. Szedł bez celu, a zgryzota legła mu na duszy kamieniem. Naokół panowała pustka, mimo to zdawało mu się wciąż, iż ktoś podąża wciąż jego śladem, wołając:

— Zdrajca!

Słońce piekło go niemiłosiernie, a pragnienie dokuczało mu coraz bardziej. Znużony i opadający z sił skręcił z drogi i rzucił się na ziemię, poczem zasnął.

Nadszedł wieczór i minęła noc, a Judasz spał wciąż snem kamiennym.

Nad rankiem przyśniło mu się, że oto widzi Mistrza, którego otacza tłum ludzi, on zaś Judasz leży ukryty w krzakach. I nagle mistrz spojrzał w krzaki, a równocześnie począł w tym samym kierunku spoglądać tłum. I wnet rozległy się wołania:

— Oto tam ukrył się zdrajca.

I wnet tysiące rąk wyciągnęło się w tym kierunku, a przerażony Judasz rozbudził się i zerwał na równe nogi.

Słońce poczynało wschodzić, ptaki w pobliskim lesie śpiewały.

Zbłąkany trwogą Judasz skierował się w stronę tego lasu, zdjął z siebie pas i zrobiwszy pętlę, powiesił się na jednem z niższych drzew.

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Zadanie konikowe.
Ułożyła Seminarzystka, Nowy Sącz.

ma	nę	źni	szu	mąż	ni	za	do
ten	ka	prys	że	u	brej	ne	gdy
żo	ją	lecz	czy	drej	u	ko	cie
ją	ka	za	nie	tyl	chodź	mą	czo

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Gimnazyalista, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Lutka uprosi wuja z W.

Łamigłówka.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Uzupełnić podane wyrazy. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, utworzy rzecz obecnie bardzo aktualną.

— ad
— la
— ad
— an
— at
— wa
— ra
— uk
— ra
— en
— wa

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Rano był od cechu wygi.

Logogryf.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego poety.

□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Rzemieślnik. 2. Zwierzę domowe. 3. Miasto w Hiszpanii. 4. Miasto w Grecyi. 5. Mocarstwo europejskie. 6. Imię męskie. 7. Ryba. 8. Drzewo szpilkowe. 9. Ciało niebieskie. 10. Ptak domowy.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Żono Ado! Brał Ci Z. nasz szal, ryż i bil? U tak!

Logogryf.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek powstawiać litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko znakomitego polskiego statysty.

□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Część okrętu. 2. Waga opakowania. 3. Góry w Europie. 4. Część domu. 5. Bóg grecki. 6. Pierwszy lotnik. 7. Wyspa na morzu Śródziemnem.

Przysłowiówka.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Przez dodanie spółgłosek utworzyć dwa znane przysłowia:
1) e e a n o a.
2) a a o y o e.

Zagadka literacka.
Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Znaleźć szereg utworów podanych pisarzy. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą imię, nazwisko i tytuł utworu współczesnego polskiego pisarza.

Sazie?
Chojecki?
Esteja?
Zdziechowski?
Gliński?
Gutowski?
Świętochowski?
Jellenta?
Michaelis?
Eminowicz?

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich znane przysłowie:

1) Śmieje się, jak głupi do sera.
2) Złe to drzwi, które lada klucz otwiera.
3) Nie chciała czapla rybek, a teraz je żaby.
4) Niema miodu bez zachodu.
5) W nocy wszystkie koty szare.
6) W braku chleba dobry i opłatek.
7) Fraszki adamaszki, karazyja grunt.
8) Na złodzieju czapka gore.
9) Dobra nasza bez maryasza.
10) Młodość leniwa, starość płaczliwa.
11) Uczepiła się baba żyda, że jej ksiądz drogę przejechał.
12) Na św. Grzegorza, idzie zima do morza.
13) Chybi koń, trafi kulbaka.
14) Na Prima Aprilis nie czytaj, bo się omylisz.
15) Choć bieda w kamienicy, to hoc na ulicy.
16) I ściany mają uszy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Jana Łady*: **Sweet Boy.** Trzy nowele.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.